AS



Nr. 22

29 MAJA 1938 ROKU

CENA 40 GROSZY

PORTRET PIĘKNEJ LADY

ANN SHERIDAN z „Warner Br. Pictures".

Najnieszczęśliwsze dziecko Francji

Mija w tym roku 150 lat od faktycznego wybuchu rewolucji francuskiej. Wprawdzie jej 150-lecie będzie obchodzić Francja dopiero za rok, gdyż za oficjalną datę rozpoczęcia rewolucji uchodzi zburzenie Bastylji, 14 lipca 1789, ale burza, poprzedzająca uderzenie tego piorunu, nadciągnęła faktycznie conajmniej o rok wcześniej. Te dni grozy, które przeżyła Francja 150 lat temu, gdy rodził się nowy porządek Europy, przywodzą na pamięć dzieje nieszczęśliwego króla bez korony i bez poddanych, Ludwika XVII, syna zgilotynowanego przez rewolucję ostatniego króla Francji, Ludwika XVI i Królowej Marji Antoniny (córki Marji Teresy), która również poniosła śmierć na szafocie.

Ludwik Karol Capet, książę Normandji, urodził się 153 lata temu, w niedzielę wielkanocną r. 1785, jako młodszy syn francuskiej pary królewskiej. Delfinem, czyli następcą tronu, został po śmierci słabowitego, starszego brata, który umarł 4 czerwca 1789 roku, na miesiąc przed zburzeniem Bastylji, w wieku 3 lat. Litościwy los pozwolił temu starszemu z braci uniknąć piekła na ziemi, jakie miało być udziałem młodszego aż do końca jego krótkiego, niespełna jedenaście lat trwającego, a tak tragicznego życia.

Materjały historyczne, dotyczące pierwszych lat życia młodego królewicza Ludwika, są liczne i dokładne. — Wiemy z listów królowej Marji Antoniny do pani Tourzel, że był on dzieckiem zdrowem, wesołem, bardzo kochającem matkę, miał złote włosy, różową cerę i był niskiego wzrostu. Szczegóły te są ważne, jak to zobaczymy dalej, ze względu na zagadkę, otacza jącą późniejszą śmierć dziecka w więzieniu i wątpliwości, tyczące identyczności jego osoby.

Najmniej dokładnych wiadomości posiadamy z najtragiczniejszego okresu kilku ostatnich lat życia biednego dziecka, zamęczanego w najbrutalniejszy sposób przez szewca Simona i jego żonę, już po straceniu obojga rodziców królewicza na gilotynie.

Dzieje upadku Ludwika XVI, uwięzionego przez motłoch wraz z rodziną, najpierw we własnym pałacu, a potem w więzieniu Temple, (na dzisiejszym placu Temple w Paryżu), jego nieudała próba ucieczki, wszystko to żywo przypomina podobne okoliczności z czasów upadku caratu w Rosji, rewolucji bolszewickiej i zabójstwa rodziny Romanowych. Ostatnie lata przyniosły nam też wiele analogji i podobnych zdarzeń upadku i konieczności ucieczki poza granice państw, osób wysoko postawionych, jakkolwiek scenerja dziejów zmienia się ustawicznie. — Wspomnijmy choćby ostatnią ucieczkę wdowy po kanclerzu Dollfussie z dwojgiem dzieci do Czechosłowacji po przewrocie hitlerowskim w Austrji, a przedtem detronizację i ucieczkę Habsburgów w Austrji, Hohenzollernów w Niemczech, Bourbonów w Hiszpanji. Zaiste, historja powtarza się!

Wypadki, które potoczyły się we Francji po upadku Bastylji, musiały pozostawić nawet w umyśle 5-letniego dziecka, jakiem był wówczas delfin, Ludwik XVII, niezatarte wrażenie. — Widział wspólnie z matką, w październiku 1789, z balkonu pałacu wersalskiego, jak rozszalały tłum zabijał straże i jak opanował pałac. Musiał pamiętać prawdziwie krzyżową drogę do Paryża, wśród szyderstw i urągań motłochu, kiedy do powozu królewskiego wrzucono, nasadzoną na pikę, uciętą głowę ludzką, która padając, zbudziła śpiące dziecko.

Pobyt w Paryżu należał do stosunkowo znośniejszych. Lud francuski był pijany wolnością i uważał króla i jego syna za no-



Ludwik XVI. wyprowadzany z więzienia Temple na szafot (współczesny sztych).

wą zabawkę, którą można się pobawić przed jej zniszczeniem. Bawiło motłoch, że potężny niegdyś władca musi nosić wraz z synem znienawidzoną trójbarwną kokardę, że nawet pijani, rozzuchwaleni bezkarnością żołnierze, mogą go zmusić do noszenia czerwonej czapki frygijskiej i do picia na cześć rewolucji. Taką samą czapkę frygijską, rozmyślnie za wielką na głowę dziecka, nosić musiał mały królewicz, który mimo swego wieku, czuł, że chcą w ten sposób upokorzyć i jego i ojca.

Wzruszające są zapiski, opowiadające, jak mały delfin każdego ranka przynosił w tym czasie matce kwiaty z ogródka, który sam uprawiał. Ale ten stan rzeczy nie trwał długo. Szalejący teror nieuchronnie zaczął zagrażać życiu królewskiej rodziny. Nieudała ucieczka do Varennes i zawrócenie karocy królewskiej w triumfie zpowrotem do Paryża, przyspieszyło tylko smutny epilog. — Dzień 9 sierpnia 1792 był ostatnim dniem ich pobytu w pałacu Tuilleryjskim. Rozszalały tłum spalił pałac, a równocześnie zgromadzenie narodowe ogłosiło zniesienie monarchji i uchwaliło uwięzienie „obywatela Ludwika Capeta" wraz z rodziną w więzieniu Temple. Mały delfin, podówczas siedmioletni chłopczyk, miał tam pozostać już aż do swej śmierci.

Z czasu pobytu rodziny królewskiej w więzieniu, zachowały się cenne i bardzo ciekawe pamiątki w postaci zadań francuskich, pisanych przez małego delfina, a poprawianych ręką Ludwika XVI.

Pobyt w więzieniu był jednostajny i nudny. Ludwikowi XVI, który jako człowiek nieco otyły, przyzwyczajony był do używania ruchu na koniu i do polowań, niemożność swobodnego poruszania się, dawała się dotkliwie we znaki. Królowa wypełniała swój czas szyciem robótek ręcznych i modlitwą. Jej modlitewnik oglądać można do dziś dnia w „British Museum" w Londynie. Królewicz czuł się w zamknięciu bardzo nieszczęśliwy. Każdego dnia otwierały się drzwi celi i więźniowie musieli znosić odwiedziny członków komuny paryskiej, z szewcem Simonem na czele, którzy przybywali, aby dać upust szyderstwu i wyzwiskom.

Urządzano nie kończące się rewizje rzeczy więźniów, rzekomo w poszukiwaniu za bronią. Odebrano królowi nóż a królowej nożyczki do szycia. Dla upokorzenia królowej, wypisywano na ścianach nieprzyzwoite sentencje, które ona potem usuwała z pełnem poświęceniem. W zadawaniu tortur moralnych odznaczyli się szczególnie dwaj ludzie, Chomette i Hébert. Ten ostatni redagował osławione pisemko rewolucyjne: „Le père Duchesne", w którem domagał się krwi najpierw Ludwika XVI, a po jego straceniu 19. I. 1793, także stracenie „wdowy Capet" i jej syna, „młodego węża, Ludwika".

Stracenie ojca silnie wstrząsnąć musiało nieszczęśliwem dzieckiem, ale niebawem miały przyjść dla niego stokroć jeszcze gorsze przeżycia: rozłączenie z matką, które nastąpiło 3. VII. 1793 o godz. 10 wiecz., przyczem Marja Antonina po raz pierwszy straciła panowanie nad sobą w więzieniu, ulegając atakowi rozpaczy — a potem oddanie pod nadzór sadystycznej pary małżeńskiej, szewca Simona i jego żony. Niewątpliwie musiał się dowiedzieć biedny delfin o straceniu matki, które nastąpiło w r. 1794, ale wtedy był już tylko nieszczęśliwą ofiarą pod względem fizycznym i moralnym z powodu ciągłego bicia, pojenia wódką i życia w najstraszniejszym brudzie i poniżeniu.

Ostatnie lata życia młodego delfina, to jest lata od 1793 do przypuszczalnej daty jego śmierci 8. VI. 1795, są najbardziej ponurą kartą rewolucji francuskiej. Metody, stosowane przez dręczycieli małego Ludwika Capeta, były bardzo zbliżone do dzisiejszych metod G. P. U. Oto np. pod groźbą bicia i tortur, zmuszono chłopca, aby podpisał dokument, oskarżający własną matkę, królowę Marję Antoninę, którą tak kochał, i ciotkę Elżbietę, o różne zbrodnie. Ten ohydny dokument miał świadczyć przeciw Marji Antoninie w czasie rozprawy sądowej, żywo przypominającej ponure komedje nowoczesnych procesów moskiewskich. Na nic nie zdała się wspaniała, patetyczna mowa, wygłoszona przez nią we własnej obronie, przed trybunałem rewolucyjnym, mowa, która, jak stwierdzają historycy, poruszyła do łez obecną na sali publiczność. W 7 godzin później królowa zginęła na szafocie.

Jakby na ironję losu, przebywający w tym czasie na wygnaniu w Westfalji, stryj małego delfina, hrabia Prowancji, ogłosił go „królem Francji i Nawarry" pod imieniem Ludwika XVII, a siebie regentem na czas małoletności „naszego bratanka i króla". Tymczasem ów biedny, niewinny „bratanek i król", katowany w nieludzki sposób, dogorywał w więzieniu. Zgon jego jest otoczony tajemnicą. Stwierdziła go komisja, złożona z dwóch lekarzy, z których żaden nie widział delfina w Wersalu ani w Paryżu za życia. Kiedy ekshumowano jego domniemane ciało w r. 1846, a potem powtórnie w r. 1894, eksperci orzekli, że szkielet należał do chłopca 15—16 letniego, o długich nogach i rękach oraz ciemnych włosach, podczas gdy delfin był raczej niskiego wzrostu i miał włosy jasne.

Żona szewca Simona, głównego kata Ludwika XVII, umierając w r. 1819, jakoby dręczona wyrzutami sumienia, złożyła wyznanie, że z początkiem r. 1795 rojaliści potajemnie wykradli chłopca z więzienia i uprowadzili w bezpieczne miejsce, a zamiast niego został podstawiony jakiś inny młodociany, chorowity więzień, który w czerwcu tegoż roku zmarł śmiercią naturalną. To zeznanie pani Simon miało zapewne na celu częściową rehabilitację jej samej wobec powrotu Bourbonów do władzy w tym czasie i jest mało wiarygodne.

Niemniej jednak, po tem zeznaniu, pojawiło się we Francji wielu samozwańców, podających się za zmarłego delfina i dochodzących swych rzekomych praw. Przypuszczalnie prawdziwy delfin został zabity lub zadręczony nieco wcześniej, niż 8. VI. 1795 i potajemnie pochowany w ogrodzie, przylegającym do więzienia Temple. Potwierdzają to pamiętniki generała d'Andigné z r. 1801, stwierdzające, że przypadkowo natrafiono w ogrodzie tym na zwłoki chłopca w wieku około 11 lat, niskiego wzrostu i o jasnych włosach. Autentyczność zwłok potwierdzali więźniowie, którzy znali delfina z Wersalu.

Niepodobna dziś odgadnąć prawdy. Dzieje ostatnich lat życia i śmierci najnieszczęśliwszego dziecka w historji, Ludwika XVII, pozostaną na zawsze tajemnicą.

J. H.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 22 **Niedziela, 29 maja 1938** **Rok IV**



Fot. Zygmunt Borzęcki — Locarno.

O ile w życiu politycznem konstelacje zmieniają się co chwila przez różne pakty, traktaty i umowy, o tyle w dziedzinie meteorologji wszystko odbywa się niezmiennie według odwiecznego porządku. Nasze zdjęcie, przedstawiające widok z Locarno, jest dowodem, że pomimo upadku politycznej koncepcji, nazwanej od tej miejscowości, i »przewekslowania« torów polityki europejskiej, zapanowała w Locarno, zgodnie z kalendarzem, zwycięska wiosna.

W ★ O ★ J ★ N ★ A
ZIEMI Z ATMOSFERĄ



Fotografja pioruna podczas burzy w Karpatach.
Fot. Br. J. Wilk — Pustelnia Dukla.

Od czasów doświadczeń Franklina zastanawiano się nad źródłem elektryczności atmosferycznej i stworzono wiele różnorodnych teoryj. Dawniejsi badacze przypuszczali, że źródłem elektryczności atmosferycznej jest parowanie wody, późniejsze jednak prace wykazały, że parowanie wody tylko w nieznacznej mierze może przyczynić się do elektryzowania powietrza. — Według Lavoisiera i Davy'ego elektryczność atmosferyczna wywiązuje się podczas procesów palenia, wreszcie badacze ostatnich czasów szukają źródła elektryczności atmosferycznej poza ziemią, przypisując zwykle słońcu duży wpływ na jej wytwarzanie.



Benjamin Franklin.

Jeżeli rozpatrujemy ziemię jako całość nie jest ona pod względem elektrycznym obojętna. Na różnych wysokościach ponad powierzchnią ziemi istnieją różne napięcia. Na nieznacznych wysokościach różnica napięć wynosi ponad 100 wolt na 1 metr wzniesienia. Napięcie w wysokości jednego metra ponad powierzchnią ziemi jest o 120 woltów wyższe, aniżeli na powierzchni. Wmiarę oddalania się od ziemi te różnice potencjałów stają się coraz mniejsze i na wysokości 10 kilometrów wynoszą one tylki kilka wolt na metr.

Glob ziemski jest naładowany ujemnie, a jego ładunek wynosi ponad pół miljona kulombów, co jest ładunkiem bardzo małym. Powietrze, jako gaz, nie przewodzi prądu elektrycznego, jest dobrym izolatorem. W miarę jednak wznoszenia się ku górze zwiększa się jonizacja, wywoływana w warstwach powierzchniowych przedewszystkiem przez rozpad ciał promieniotwórczych powierzchniowych warstw ziemi, i powietrze staje się coraz lepszym przewodnikiem elektryczności. Na wysokości 9000 metrów przewodnictwo powietrza jest 10 razy większe, aniżeli bezpośrednio nad powierzchnią ziemi, a na wysokości kilkudziesięciu kilometrów jest ono już miljon razy większe. Wreszcie w wysokościach 80—100 kilometrów przewodnictwo powietrza staje się miljard razy większe, aniżeli nad powierzchnią ziemi. Warstwa ta zwana warstwą Kennelly-Heavyside'a czyli jonosferą, posiada przewodnictwo warstwy miedzianej o grubości 1 metra. Stąd też fale radjowe, rozchodzące się dokoła ziemi, nie opuszczają jej, ulegają bowiem odbiciu od jonosfery, jak od powierzchni wklęsłego metalowego zwierciadła. Zjonizowanie tej warstwy nastąpiło prawdopodobnie pod wpływem promieniowań, wysyłanych przez słońce

Ziemia stanowi zatem jakgdyby olbrzymi kondensator, coś w rodzaju wielkiej butelki lejdejskiej. Część środkową o ładunku ujemnym stanowi ziemia, okładką zewnętrzna jest otaczająca ziemię jonosfera, izolatorem jest źle przewodząca atmosfera, znajdująca się między powierzchnią ziemi a jonosferą.

Wskutek spadku napięcia, utrzymującego się w atmosferze płynie przez nią prąd ku powierzchni ziemi o natężeniu ponad 1000 amperów. Niewątpliwie w krótkim czasie ziemia straciłaby cały swój ładunek ujemny; ten jednak utrzymuje się, lecz źródło jego podtrzymywania w niezmiennej wartości nie jest dotąd nam znane.

W chmurach właściwych czyli t. zw. chmurach piorunowych gromadzi się elekryczność jako następstwo ich zagęszczenia. Jeżeli kropelki chmury nie są do siebie zbyt zbliżone czyli jeżeli zagęszczenie chmury jest słabe, gromadząca się elektryczność może odpływać do otaczającej atmosfery n. p. z deszczem czy mgłą, które stanowią dobry przewodnik dla elektryczności. W lecie jednak, gdy powietrze jest suche, nagromadzona elektryczność nie ma możności odpływu, skutkiem czego na każdej kropelce zwiększa się napięcie. Przy bardzo silnem zagęszczeniu można chmurę uważać za doskonały przewodnik, na którego powierzchni skupia się elektryczność o wysokim potencjale. W ten sposób powstają dodatnio naładowane chmury o różnych jednak potencjałach. Przez wpływ oddziaływują chmury na inne, rozwijając po jednej ich stronie elektryczność ujemną. W ten sposób występują w sąsiedztwie ładunki dodatnie i ujemne i przy odpowiedniem ich zbliżeniu czy wzroście różnicy potencjałów następuje wyładowanie, znane w postaci błyskawic, przebiegających między chmurą a ziemią lub między jedną a drugą chmurą.

Ilość elektryczności, która spływa na ziemię podczas uderzeń piorunów, nie jest duża, wynosi ona zwykle zaledwie 10 do 20 kulombów. Dzieje się to wskutek tego, że czas trwania błyskawicy jest niezmiernie krótki, wynosi bowiem od 1/1000 do 1/50 sekundy, natężenie natomiast płynącego prądu jest olbrzymie i wynosi koło 10.000 amperów. Długość błyskawic jest zmienna. Zwykle wynosi 2 do 3 kilometrów, nieraz jednak dochodzi do 10 km. a nawet i więcej. Różnice potencjałów przy tak wielkich błyskawicach przekraczają nieraz 50 miljonów wolt.



Michał Faraday.

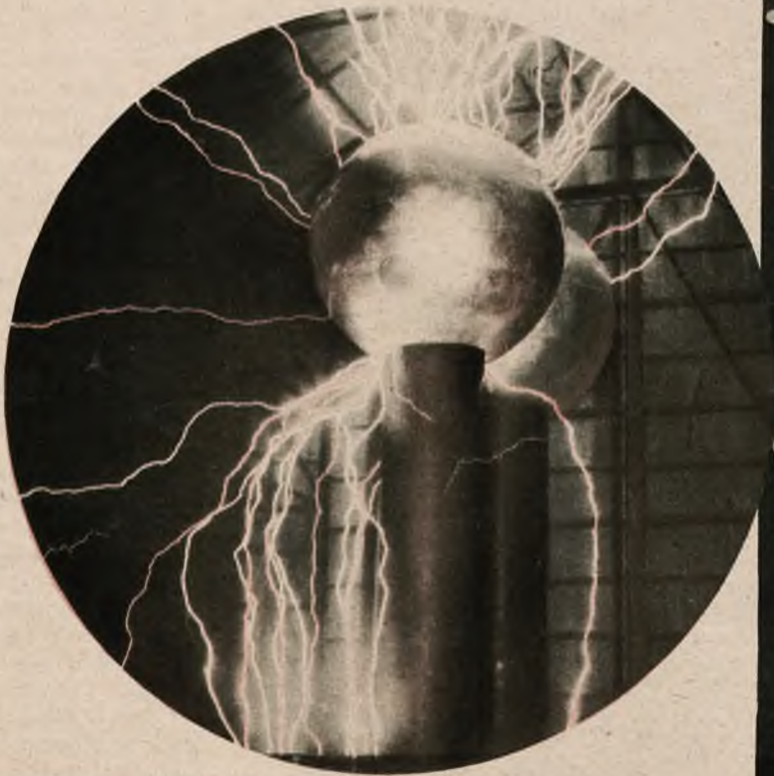
Na szczytach wysokich gór, narażonych na częste uderzenia piorunów, zauważyć można zjawiska stopienia skały na powierzchni; występują tam zeszklone działaniem wysokiej temperatury płaty powierzchniowe lub szkliste kuleczki. Na szczycie Małego Araratu występuje skała tak silnie zmieniona pod wpływem uderzeń piorunów, że uzyskała nawet specjalną nazwę skały fulgurytowej czyli piorunowej. Zjawiska stopienia powierzchniowych warstw ziemi

występują zwłaszcza w obszarach piaszczystych, w których musi być przebita źle przewodząca warstwa suchego piasku, zanim elektryczność nie spłynie do głębszych warstw poziomu wody gruntowej. Na takich miejscach nieraz można znaleźć t. zw fulguryty, t. j. rurki utworzone ze stopionych ziaren piasku. Wskazują one drogę, którą piorun podążał z powierzchni ziemi do warstw głębszych. W Polsce takie fulguryty znajdują się na Pustyni Błędowskiej w okolicy Olkusza.

Nic też dziwnego, że piorun, uderzając w dom czy drzewo, może go zapalić, podobnie nieraz zaobserwować można stapianie przez piorun części metalowych. Człowiek trafiony przez piorun ulega porażeniu często śmiertelnemu.

Te wysokie napięcia, powstające w czasie burz w przyrodzie, postanowiono wykorzystać do doświadczeń nad rozbijaniem atomów, które przeprowadzono przed 10 laty w Alpach Lombardzkich. Między dwoma szczytami grupy Monte Generoso rozpięto na wysokości ok. 150 metrów sieć o długości 3/4 kilometra, izolując ją od ziemi. W czasie burz otrzymywano potężne iskry o napięciach ponad 8 miljonów woltów.

Wydawało się ówcześnie, że tak potężne napięcia nie są osiągalne w technice i szczytem marzeń było uzyskanie napięcia elektrycznego 1 miljona wolt. Tymczasem już w parę lat później zbudowano instalację, przy pomocy których otrzymano napięcia o zawrotnej cyfrze 10 miljonów wolt. Instalacje te zbudował amerykański fizyk Robert J. Van de Graaf z Instytutu Technologicznego w Cambridge w Stanach Zjednoczonych. Główną częścią składową tej instalacji są olbrzymie elektrody, którymi są kule aluminjowe o średnicy 4 i pół metra. Kule te opierają się na wysokich na 7 i pół metra wydrążonych kolumnach, znajdujących się na ruchomych wózkach, przy pomocy których można dowolnie regulować odległość między kulami. W środku każdej kuli znajduje się urządzone laboratorjum,



W kole: W czasie badań nad rozbiciem atomów uzyskał van de Graaf błyskawicę o napięciu 7 miljonów wolt.



N a l e w o: Burza nad Nowym Jorkiem: piorun uderza w najwyższy drapacz chmur „Empire State Building".

w którem fizycy dokonywują pomiarów w czasie działania instalacji.

Na powierzchni jednej kuli gromadzi się ładunek dodatni, na drugiej ujemny. Przy odpowiednio wysokiem napięciu następuje pomiędzy kulami wyładowanie w postaci potężnej iskry, prawdziwej błyskawicy, jaką obserwować możemy w czasie burzy. Na drodze takiej sztucznej błyskawicy umieszczono specjalnie skonstruowane rury próżniowe, w których przeprowadza się badania nad budową jądra atomowego. Przy przepuszczaniu bowiem iskry o tak wysokiem napięciu szybkości, poruszających się w rozrzedzonym gazie protonów i elektronów zwiększa się tak, że stanowią rodzaj pocisków do rozbijania atomów.



Model samolotu poddany działaniu sztucznego pioruna (doświadczenia inż. M. Austina).



To samo doświadczenie inż. Austina, dokonane na modelu sterowca, (szkielet z duraluminium pokryty płótnem).



Oto jak wygląda burza, która „szaleje" w laboratorjum nad modelem wioski.

Z rozwojem komunikacji lotniczej rozważano nieraz zagadnienie niebezpieczeństwa ze strony piorunów. Wytwarzanie sztucznych błyskawic pozwoliło rzecz tę zbadać na drodze eksperymentu.

Fotografje obok zamieszczone zostały wykonane w St. Zjednoczonych w Barberton przez inż. M. Austina, znanego specjalistę

Dokończenie na str. 31-ej.

Na trasie porucznika Waghorna



Port Said: Wschód słońca.



Dwa statki mijają się w Kanale Sueskim.

Na prawo: Siedziba dyrekcji Kanału Sueskiego w Port Saidzie.



Zbudowanie Kanału Suezkiego stanowiła bezwątpienia kulminacyjny punkt wiedzy i techniki współczesnych inżynierów, mało komu jednak jest wiadomem, że kilkanaście wieków wstecz kwestja kanału była już aktualna i została rozwiązaną zupełnie jak na ówczesny stan techniki w sposób zadawalający.

Wedle informacyj Herodota rozpoczęto pracę nad połączeniem morza Śródziemnego z morzem Czerwonem poprzez Nil w 630 roku przed Chr. przez Necosa, a ukończono je za Dariusza. Kanał ten był oczywista niewielkim, ale wystarczał na komunikację starożytnych „transatlantyków" i na rozmiary handlu wymiennego, między narodami morza Śródziemnego a Indjami. Pod koniec 18 go wieku, inżynier Lepère powziął plan zmodernizowania starego kanału. Pracę taką uznano wówczas za niewykonalną, z powodu błędnego obliczenia, że morze Śródziemne jest położone na wyższym poziomie od morza Czerwonego. Tymczasem sprawa szybkiego tranzytu do Indyj nabrała takiej wagi, że porucznik Waghorn wytyczył i w końcu mimo znacznych trudności ustalił nową trasę — drogą lądową. Wyładowywano więc w Alexandrji z okrętów pasażerów i towar, przeprawiano się następnie kanałem Mahmoudiego i Nilem do Kairu, kontynuując stąd drogę aż do Suezu, 100 mil karawaną przez pustynię, po przebyciu której wsiadano ponownie na statek zmierzający do Indyj. Nawet na niewielkie obroty towarowe owych czasów, jedna karawana wymagała aż 3000 wielbłądów, a zbytecznem jest dodawać, że taryfy przejazdu pasażerów i frachtu były bardzo kosztowne. Pamięci pioniera i wykonawcy tej drogi poświęcono statuę w Port Tewfik.

Znakomity francuski inżynier Ferdynand de Lesseps w roku 1854 uzyskał od kedywa Egiptu pozwolenie na prowadzenie robót koło przebudowy i zgłębienia kanału i tem samem oddania go do użytku dla nowocześniejszych okrętów. Rozpoczęcie prac napotkało jednak na trudności ze strony Turcji i innych mocarstw Europy. Wielka Brytanja była bardzo wrogo nastawioną, a ówczesny premjer angielski, Lord Palmerston, wyraził się o tym projekcie ,jako na wielką skalę zakrojonem oszustwie. Różne zaś towarzystwa okrętowe, zaangażowane wielkiemi kapitałami przy budowie trasy lądowej porucznika Waghorna, w obawie przed znacznemi stratami, także starały się sprawę utrącić. Naprzekór tym wszystkim oznakom niezadowolenia dnia 25 kwietnia roku 1859 rozpoczęto epokowe dzieło, o nieocenionem znaczeniu dla strategji, handlu i turystyki. Opozycja tak licznych czynników powodowała częste opóźnienia przy robotach, tak, że w pierwszych ośmiu latach wykopano tylko 25 miljonów metrów kubicznych. W następnych 2 latach usunięto pozostałych 50 miljonów i w roku 1869 cesarzowa Eugenja uroczyście otworzyła kanał Suezki — ten genjalny „skrót" do Indyj i na Daleki Wschód. To gigantyczne przedsięwzięcie sfinansowały głównie Egipt i Francja, — a zadziwiającą wprost była, biorąc pod uwagę, że większość przepływających tamtędy statków należała do Anglji, — krótkowzroczność jej polityki wobec dobra własnych interesów.

Ten ciężki błąd polityki angielskiej naprawił w momencie prawdziwego natchnienia lord Disraeli; odkupił wszystkie akcje, przynoszące olbrzymie wprost dochody, od rządu egipskiego i w ten sposób Wielka Brytanja uzyskała kontrolę nad finansami Kanału Suezkiego. Roboty techniczne koło kanału były bardzo trudne. Nie znano jeszcze specjalnych maszyn parowych, do szybkiego wiercenia lub wykopywania, tak, że całą pracę wykonała ręcznie wielka armja zatrudnionych tubylców, przy pomocy wielbłądów i osłów. Na utrzymanie i wyżywienie takiej ilości pracujących, przeważnie w pustynnej okolicy, należało urządzić przedewszystkiem rezerwoar słodkiej wody i zaopiekować się dostawą aprowizacji

Z chwilą otwarcia kanału bynajmniej nie zaniechano dalszych prac nad pogłębieniem, a głównie, w wielu miejscach, rozszerzeniem go, skutkiem czego, dzisiaj okręty mogą się swobodnie mijać w Suezie, a nie jak dawniej gdy zmuszone do postoju w specjalnie na ten cel poszerzonem miejscu wyczekiwały, aż miną okręty, płynące w przeciwnym kierunku. A że raz czekając, należało już przepuścić wszystkie, nigdy zgóry nie dało się przewidzieć jak długo potrwa podróż przez kanał. Przeprawa odbywała się dawniej wyłącznie za dnia, po zastosowaniu zaś wielkich reflektorów elektrycznych, pora dnia nie gra roli, a zarząd kanału zaopatruje przepływające statki w instalacje elektryczne, jeśli tego zachodzi potrzeba.

Długość kanału wynosi 90 mil, a przejazd trwa około 16-tu godzin. Brzegi przeważnie niskie i piaszczyste; po stronie arabskiej widać wielkie piramidy soli, zebrane przez parowanie wody morskiej w słońcu. Port Said, w którym znajduje się administracja centralna kanału, zwiastuje zdaleka oprócz wielkiej latarni morskiej, pomnik de Lessepsa. Jest to może najbardziej kosmopolityczny zakątek świata, a do niedawna jeszcze słusznie uchodzący za najniemoralniejszy i najniebezpieczniejszy port, którego reputacja poprawiła się dopiero dzięki zarządzeniom władz angielskich. Wysiłki techniki i cywilizacji Zachodu kontrastują tutaj żywo z romantyczną świetnością czasów starożytnych faraonów; u boku najmodniejszego transatlantyku, płynie z godnością łódź egipska, taka sama, jak przed tysiącem lat; sięgające czasów biblijnych, prymitywne metody i zwyczaje życia codziennego, miasto Aladyna, historje arabskie z tysiąca i jednej nocy, świątynie, sfinksy, piramidy, grobowiec Tutankhamena wszystko to jest tłem dla śmietanki turystycznej Europy, rezydującej tu w hotelach o typowym dla XX wieku luksusie.

O-st.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Na „deser“ artykułów o „V Ogólnopolskiej Wystawie Filatelistycznej“ pozostawiliśmy sobie opis najpiękniej może opracowanego zbioru dyr. Tislowitza z Krakowa. Objekt ten ma właściwie charakter muzealny ze względu na szereg unikatów, a ze względu na ułożenie może służyć jako wzór.

Trudno tu opisać więcej aniżeli jeden fragment zbioru, więc weźmy pod uwagę tylko t. zw. krakowskie wydanie.

Podzielone ono zostało według form, któremi dokonywano przedruki. Na wielkich kartach specjalnie wykonanego albumu wykonane są przy wszystkich znaczkach bardzo dokładne opisy (pismem maszynowem), oraz tabele podające wysokość nakładu i cechy charakterystyczne błędów, zachodzących w arkuszach.

Każda forma drukarska, a jest ich w tem wydaniu kilka, przedstawiona jest całym arkuszem i tylko „trzydziestka opłatna“ (forma litograficzna) znajduje się w jednym 25-bloku. Najcenniejsze są oczywiście serje bardzo rzadkich „dwukropków“ i „złamanych A“, jak też i czworobloki 25 i 90 h. Przy druku litograficznym na wartościach koronowych zgromadzone są „najbielsze kruki“, tj. 10 k. w kolorze jasno i ciemno fioletowym, oraz dopłaty z nadrukiem czerwonym na 1, 5 i 10 koronach.

Jeśli ktoś widzi naraz taką ilość odmian, znanych mu tylko ze słyszenia, traci czasem ochotę do zbierania, ale w każdym razie nie można zapominać, że jest to owoc 20-letniej pracy i poszukiwań, który dał też takie wyniki.

Nadzwyczajnie ciekawym jest w tym dziale zbiór całostek i kopert oraz mapka przedstawiająca teren, na którym znaczki te były faktycznie w obiegu. Całostki u nas bardzo niepopularne, są też tylko ciekawe w takich przełomowych okresach, kiedy używane były z najrozmaitszemi przedrukami, nie są one doceniane i może się łatwo zdarzyć, że ktoś nie wie o tem, że ma coś bardzo cennego w swym materjale.

Opis falsyfikatów dokonanych w tej samej drukarni, gdzie wykonano cały nakład prawdziwych przedruków jest także przedstawiony bardzo przejrzyście. Są to też najtrudniejsze do odróżnienia fałszerstwa, bo zostały sporządzone temi samemi czcionkami. Wydawałoby się, że nie sposób jest odróżnić je skoro są takie same. Tymczasem przeciwnie: zostały one tylko złożone w tej samej formie, ale zapomniano o tem, że układ wzajemny słów „poczta“ i „polska“ oraz rombu pomiędzy wierszami był rozmaity. Tak też udzielić gwarancji na znaczki krakowskie może tylko ktoś, kto zna omal napamięć wszystkie sztuki w arkuszu i potrafi wyznaczyć pole, jakie dana sztuka w prawdziwym arkuszu zajmuje.

Nie wiadomo zapewne wszystkim, że są i fałszowane błędy druku, tj. „cienkie Z“ i „dwukropek“. Różnią się one wyraźnie od prawdziwych (literę Z zeskrobywano!) i porównanie nawet na oko wystarcza do ustalenia.

Fałszerstwo p. M. jest jeszcze łatwiejsze do rozpoznania, bo nadruk jest węższy. I w tym jest także zasługa zbieracza-specjalisty, że umiał pokazać całe bloki falsyfikatów, a dzisiaj chyba już nie będzie więcej naiwnych, którzy chcieliby kupować te sztuki bez gwarancji.

Zbiór o podobnej klasie odnosiłby zapewne sukcesy na wystawach całego świata i żałować tylko wypada, że zbieracze nie wybiorą jednego języka, w którym pisanoby teksty opisowe. Tekst polski zwłaszcza, niezrozumiały dla obcokrajowców, musiałby być zmieniony w tym konkretnym wypadku.

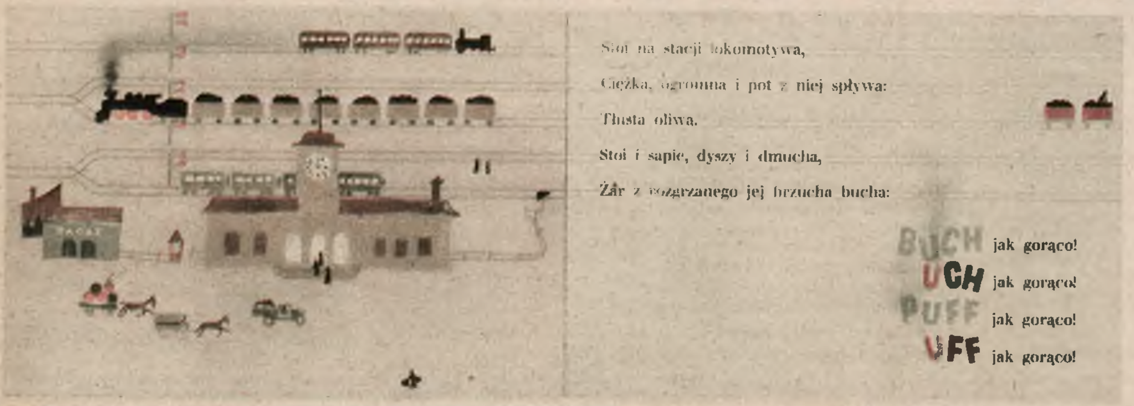
W. H.



Najnowsza serja znaczków norweskich, przedstawiająca renifera, fjord oraz charakterystyczny kościółek wiejski.

KRAKOWSKI KLUB TOWARZYSKI zawiadamia, że zebrania członków, interesujących się filatelistyką odbywać się będą stale w poniedziałki o g. 19 we własnym lokalu przy ul. Felicjanek 6. Informacyj udziela się codziennie od g. 19. Goście mile widziani.

GRAFIKA KSIĄŻKI POLSKIEJ

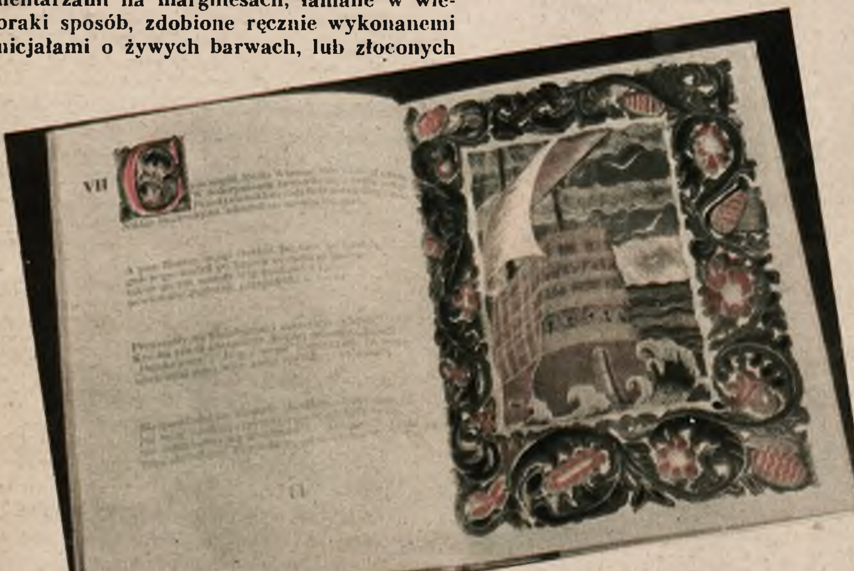


Dwie strony z książki „Lokomotywa". Układ graf. Levitt i Hima. — (Wyd. J. Przeworski).

Pierwszy druk — sławna biblja Gutenberga, jest arcydziełem sztuki graficznej wprost niedoścignionem. Kartki tego wspaniałego egzemplarza ułożone z równej, pięknie wiążącej się w wiersz i szarą plamę tekstu — czcionki urozmaicone komentarzami na marginesach, łamane w wieloraki sposób, zdobione ręcznie wykonanemi inicjałami o żywych barwach, lub złoconych

Na prawo: Strona z „Polskiego słownika pijackiego" (wyd. „Rój"). — Ilustracja F. Topolskiego.





Powyżej: Dwie strony z książki p. t. „Legenda o masztowej sośnie". Układ i drzeworyty A. Girsa i B. Barcza (wyd. G. K. W.).

Poniżej: Ilustracja F. Topolskiego do „Polskiego słownika pijackiego i antologji bachicznej". (Wyd. „Rój").

płytkami prawdziwego złota — składają się na całość niepospolitą.

Tradycja pięknej książki, jej wyglądu zewnętrznego i estetyki układu drukowanego ciągnie się od czasów Gutenberga nieomal nieprzerwanie do lat dzisiejszych. Ku końcowi jednak XIX wieku ogólny poziom widocznie i dość gwałtownie spada, choć oczywiście nie brak wciąż jeszcze wydawnictw pierwszorzędnych. Coraz częściej spotyka się szare, monotonne druki bez wyrazu. Książkę przestaje się graficznie komponować indywidualnie, przestaje też ona nosić piętno danej oficyny, która ją w świat wypuściła. Drukarnie skłaniają się ku utartemu szablonowi. Czcionka traci swój wdzięk, by wreszcie ustąpić miejsca secesyjnym potworom. W bardzo krótkim stosunkowo czasie nastąpił zupełny zmierz książki, a właściwie jej powabów zewnętrznych.

Najpierw drzeworyt, jako ilustracja druku, potem miedzioryt, czy staloryt ustąpiły miejsca ponownie drzeworytowi, który jednak z biegiem czasu staje się wiernym naśladownictwem fotografji, święcącej w tym czasie wszechwładne triumfy. — Piękne tradycje ilustracji książkowej zakończyła technika, wprowadzająca do drukarń siatkową kliszę cynkową, która wiernością reprodukcji i taniością pobiła rekordy. Książka w okresie przedwojennym wojennym i krótko po wojnie światowej stoi chyba najniżej.

Druk książki w Polsce w tym czasie przedstawiał obraz wręcz katastrofalny. Zaborcy, niemożność drukowania dzieł, najbardziej na staranną oprawę zasługujących, minimalne środki na druk polskiej książki zagranicą — powodowane trudnościami sprzedaży — były tego przyczyną. A przytem oblicze książki drukowanej zagranicą nie było dziełem polskiego artysty i drukarza, dzięki czemu nie mogło reprezentować polskiej kultury graficznej.

Stanisław Wyspiański — był pierwszym w budzącej się do życia i walki Polsce — artystą, który potrafił dokonać w dziedzinie drukarstwa znacznego i rewolucyjnego, jak na swe czasy przewrotu, a zarazem wskazać nowe drogi polskiej książce.

Jest wielu takich, którzy upadku piękna książki dopatrują się w postępie techniki i w maszynie, która jakoby miała spowodować ten stan. W twierdzeniu tem jest tyle zaledwie racji, że maszyna drukująca szybko i tanio, oraz technika dozwalająca łatwo zilustrować i złożyć książkę — ułatwiły spekulację słowem drukowanem. Głód książki i jednoczesny brak doborowego materjału pozwoliły wydawać wszystko, co zostało napisane bez względu na wartość. Oczywiście tego rodzaju interes nie mógł być oparty na kosztownym doborze układu, papieru, ilustracji itd. Wszystko musiało być tanie.

Zaśmiecanie rynku księgarskiego trwa zresztą nadal, aż po dzień dzisiejszy na całym świecie. Dowodem tego jest fakt, że zarząd bibljoteki Muzeum Brytyjskiego — posiadającej największy na świecie zbiór książek — zarządził skrupulatną selekcję rzeczy wciąganych do katalogów — stwierdziwszy uprzednio przerażającą ilość bezwartościowych tomów, zajmujących półki.

Tak więc maszyna i rozwój techniki drukarskiej nie są bezpośredniemi przyczynami obniżenia się wartości zewnętrznej książki. Możliwości natomiast drukowania najrozmaitszemi technikami, ogromny dobór





„Polska na morzu". Układ graf. A. Girsa i B. Barcza. (Wyd. G. K. W.).



„Ilustrowana kronika Legjonów". Układ graf. i ilustracje barwne A. Girsa i B. Barcza. (Wyd. G. K. W.).



Rejestr słów obcych w książce „Wśród wichrów i fal", według układu A. Girsa i B. Barcza. (Wyd. G. K. W.).



„W walce o szczyty Andów". — Układ graficzny A. Girsa i B. Barcza. (Wyd. G. K. W.).

czcionki, doskonała i wielka ilość gatunków papieru, maszyny tak precyzyjne, jak nowoczesne linotypy i monotypy, fantastyczne wprost metody reprodukcyjne dla ilustracji, nie wykluczenie współpracy rąk ludzkich przy zdobieniu książki, ułatwienia w drukowaniu drzeworytów, stalorytów i innych technik, wykonanych bez współudziału mechanicznych metod — to walory, któremi nie dysponowali dotąd jeszcze drukarze i graficy minionych wieków.

Inwencja artysty i współpraca posłusznej i sprawnie działającej maszyny — to połączenie, które daje z dnia na dzień lepsze rezultaty, oszałamiające możliwościami bez granic.

Po wojnie światowej — pierwsza Francja przystąpiła do wzmożonej pracy nad drukiem. Kraj, który w XVIII wieku stał na czele wszystkich państw w doskonałości swego sztychu, nie porzucił do dziś zdobienia tym właśnie sztychem swej książki. Akwaforty Dignimont'a, sztychy Hermine David'a, J. Oberlé, P. E. Clairin, Aleksiejewa, Vertès'a i Falke'go zdobią dziś tysiące książek francuskich — czyniąc je godnemi wzorów francuskiej sztuki drukarskiej z przed lat.

Nacóż więc zdała się maszyna, skoro wymienionej wyżej techniki były znane i używane przed wiekami? Odpowiedź jest łatwa. Maszyna, pracująca tanio udostępniła piękne wydawnictwa szerokim masom czytelników.

Niektóre ceny francuskich wydawnictw są wprawdzie olbrzymie, ale preparowane są one odpowiednio do klienteli, przyczem to samo wydawnictwo na innym tylko papierze wydrukowane i bez oryginalnych rysunków artysty, a z ich reprodukcjami — jest już zupełnie dostępne. Różne ceny danej książki i różne jej „gatunki", jakby to nazwać można, ustalane są dla pewnych ograniczonych ilości egzemplarzy. Szczególnie sposób sprzedaży np. dziesięciu książek, w których znajduje się po jednej oryginalnej ilustracji (reszta — 9, jako reprodukcje) po cenie wydatnie wyższej — wydaje się być pomysłem szczęśliwym. Korzysta na tem artysta, który ma w ten sposób możność poza prawem reprodukcji — sprzedać jeszcze oryginały — po dobrej cenie.

Potrzeba pięknego druku uwydatniła się we Francji nawet w takiej dziedzinie, jak katalog, prospekt, cennik itd. Warto wspomnieć że, broszury reklamowe pewnego francuskiego handlu winami opracowywali graficy: M. Jeanjean, P. Lissac, Carlegle, A. Vallèe, Ch. Martin, Loupot, P. Iribe, A. M. Cassandre i literaci o znanych nazwiskach.

Wydawnictwa polskie wykazują w ostatnich czasach duże ożywienie, przy jednoczesnym silnie uwydatniającym się nacisku na stronę graficzną książki. Nie jestto zjawisko o szerszem znaczeniu i wpływie — niemniej jednak zdołało ono poprawić ogólny poziom i podnieść procent pięknie wydanej książki.



Ilustracja F. Topolskiego z „Polskiego słownika pijackiego". (Wyd. „Rój").

Zastępy odpowiednio przygotowanych, znających rzemiosło artystów-grafików zaczęły systematycznie współpracować z wydawcami polskimi. Ich praca i wyniki tej pracy nie są przygodnemi popisami, jak to miało miejsce dawniej, ale rzetelnym i rozumnym wysiłkiem twórczym, świadomym swych celów i zadań.

Fakt, że nareszcie zrozumiano różnicę między twórczością malarza sztalugowego, a grafika, obracających się w zupełnie innych sferach zagadnień i operujących biegunowo różnemi fakturami artystycznemi — należy zaliczyć do przełomowych w dziejach drukarstwa. Artysta-grafik, pracujący w dziedzinie grafiki użytkowej dał początek „odrodzeniu" książki i druku wogóle.

Drukarnie, które są dziś wykonawcami cudzych zamówień — nie mają decydującego wpływu na wygląd książki. Zaledwie parę największych zakładów drukarskich zatrudnia stale artystów-grafików, którzy współpracują z nimi. Przeważnie jednak inicjatywa przeszła w ręce firm wydawniczych, które zamawiają ozdobniki, ilustracje, projekty układu i opraw, oraz kolorowe okładki do swych wydań.

Z racji tej warto będzie wspomnieć o pracy i plonie kilku instytucyj nakładowych w Polsce, które na przestrzeni ostatnich lat wyróżniły się swemi artystycznemi wydaniami.

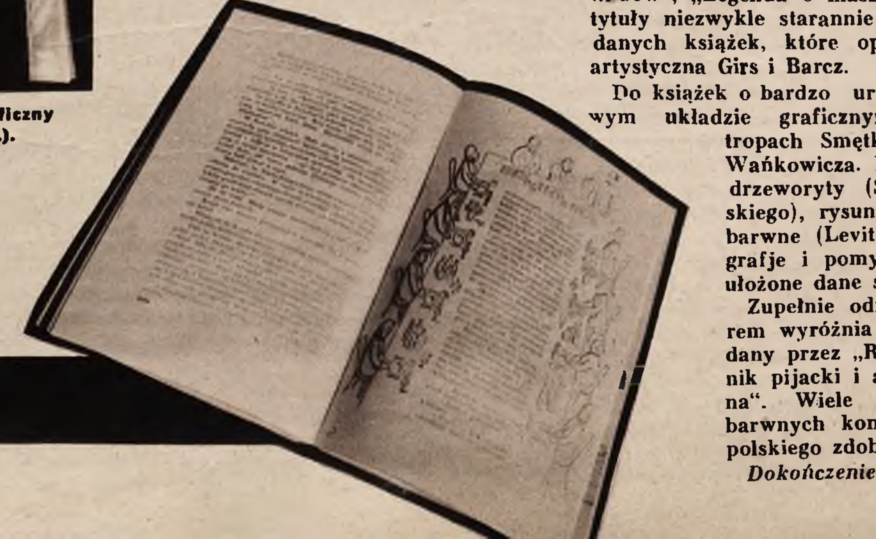
Jedną z największych firm wydawniczych w Polsce jest Główna Księgarnia Wojskowa w Warszawie. Została ona założona w roku 1918. Z czasem firma przekształciła się na wydawniczą, specjalizującą się w dziale wojskowym i sportowym. Z G. K. W. współpracują artyści-graficy A. Girs i B. Barcz, którzy dali układ i oprawę graficzną licznym albumom i książkom. G. K. W. i współuracujący z nią artyści poszczycić się mogą wielu sukcesami na zagranicznych wystawach w Florencji, Londynie i Brukseli, które przypieczętowała Grand Prix za piękną książkę, zdobyta na zeszłorocznej wystawie w Paryżu.

„Polska na morzu", „Polska lotnicza", „Wśród wichrów i fal", „W walce o szczyty Andów", „Legenda o masztowej sośnie", to tytuły niezwykle starannie i gustownie wydanych książek, które opracowała spółka artystyczna Girs i Barcz.

Do książek o bardzo urozmaiconym i żywym układzie graficznym należy: „Na tropach Smętka" — Melchiora Wańkowicza. Druk ten zawiera drzeworyty (St. O. Chrostowskiego), rysunki jedno i wielobarwne (Levitta i Hima), fotografje i pomysłowo, dowcipnie ułożone dane statystyczne.

Zupełnie odrębnym charakterem wyróżnia się pięknie wydany przez „Rój" „Polski słownik pijacki i antologja bachiczna". Wiele całostronicowych, barwnych kompozycyj F. Topolskiego zdobi antologję. Tekst

Dokończenie na str. 23-ciej.



Na prawo: Kartki o ciekawym układzie graficznym z książki p. t. „Na tropach Smętka".

Wielka gra

TADEUSZ BILIŃSKI

NOWELA

Niejedno miał nazwisko — zależnie od okoliczności i humoru — ale nigdy nie używał tego, które wyniósł z domu i to nawet wobec siebie samego. A przecież brzmiało ono pięknie i wiązało się z chwalebnemi tradycjami rodowemi.

I kiedy — tak jak teraz — szedł Marszałkowską w zwyczajnem wyszarzałem ubraniu, w starej przymiętej zarzutce i w miękkim kapeluszu, zwał się poprostu Walińskim i był agentem handlowym, który mieszkał już od kilku miesięcy w Warszawie. Była właśnie godzina cwarta, kiedy Waliński wchodził do kamienicy na odległej ulicy i — niewiadomo już po raz który — zrobił spostrzeżenie, jaka grobowa cisza panuje zawsze w tym domu, gdzie nie było odźwiernego i każdy z lokatorów posiadał własny klucz od bramy. Przez cały okres czasu, kiedy tu „podmieszkiwał", zdarzyło się, że może spotkał dwie lub trzy osoby na schodach. Na pierwszem piętrze mieściło się jakieś zastępstwo handlowe, które właściwie nie... funkcjonowało i dwie paniusie w podeszłym wieku, nie opuszczające prawie nigdy mieszkania; na drugiem piętrze mieszkał emerytowany profesor uniwersytetu ze swą gospodynią, a w końcu na trzeciem, dokąd Waliński właśnie zmierzał, mieszkał również profesor, a właściwie... mistrz tańca, Michalewski. — Z tym to profesorem łączyły Walińskiego przyjazne stosunki, które polegały na tem, że mógł zawsze między godziną czwartą a szóstą popołudniu otworzyć sobie jego mieszkanie kluczem, jaki posiadał przy sobie i skierować się zaraz po wejściu do jednej z szaf, skąd mógł wyjąć jeden ze swych — rzecz jasna — garniturów i przebrawszy się opuścić znów to mieszkanie.

Właściwy posiadacz mieszkania, profesor Michalewski, nie miał powodu do narzekania na swego „sublokatora" i nawet nie wiedział właściwie, czy i kiedy mieszkanie jego jest nawiedzane, tak wszystko zastawał zawsze we wzorowym porządku, a jeśli przypadkiem zdarzyło się, że spotkali się obaj na jakimś neutralnym gruncie, nawet nie starał się dowiedzieć, czy Waliński korzysta kiedy z jego grzeczności.

Więcej z przyzwyczajenia, aniżeli z ciekawości zapędził się Waliński do innych pokoi profesora, a więc zarówno do sypialni, skąd wiało chłodem i opuszczeniem, jak i do obszernej jadalni, gdzie znów oprócz kredensu, niezwykle długiego stołu i dwudziestu krzeseł, nie znajdowało się nic więcej. Zajrzał jeszcze do kuchni. Tutaj nigdy, zdaje się, nie rozpalano ognia. Wszystko stało i leżało w tych ubikacjach w jakimś wzorowym, ale i nudnym i nienaruszalnym porządku.

A kiedy wrócił znów do stołowego, gdzie — podobnie, jak i we wszystkich innych pokojach, każdy krok tłumił puszysty dywan — wiedział już niemal z całą pewnością, że w nocy to mieszkanie nie było wcale opustoszałe — przeciwnie, przy szczelnie zasłoniętych oknach hazardowano przy długim stole... jadalnym. Ale już od rana każde z 20 krzeseł stało na swojem miejscu i gdyby nie lekki swąd z dymu papierosów i cygar, czający się w firankach i portjerach, niktby nawet nie przypuścił, że tutaj była poprostu dobrze zakonspirowana „jaskinia gry".

Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy jeszcze dźwięki srebrnych monet i szelest banknotów. On sam nigdy nie przychodził tutaj w godzinach wieczornych, bo taka była już między obydwoma „przyjaciółmi" umowa. Zresztą — mój Boże — „z czem do gościa" — pomyślał z goryczą — teraz, kiedy miał „puchy" w kieszeni!

— No... ale należałoby wreszcie wziąć się do roboty. A ta „robota" polegała na tem, że z czterdziestoparoletniego mizernego kupczyka Walińskiego miał się przedzierzgnąć w młodszego o dziesięć lat Rosłana Dzierzbę-Starskiego. A to musiało potrwać dobrą godzinkę. Nietylko bowiem zmienił ubranie i buciki, ale również bieliznę, wpiąwszy w mankiety wytworne spinki i związawszy gustownie piękny krawat „very fashionable".

Rezultatem tego godzinnego przebierania był elegancki, młodzieńczy gentleman, w którego dyskretnej a wytwornej elegancji nawet najbaczniejsze oko znawcy nie zdołałoby odkryć jakiegoś najmniejszego uchybienia dobremu smakowi, czegoś, coby było „shocking".

Stanowiło to zresztą dla niego tylko wśliźgnięcie się zpowrotem w dawną skórę, która leżała na nim jak ulana. Czuł się w niej znakomicie. Jeszcze jedno spojrzenie w stojące lustro, staranne zamknięcie szafy i szuflad, baczny rzut oka po całym pokoju, czy czego nie zapomniał schować lub uporządkować, a co zdradziłoby jego chwilową obecność i — już opuszczał dom lekkim, pewnym krokiem, przerzuciwszy niedbale zarzutkę przez ramię.

Widząc go teraz wychodzącego z bramy z całą swobodą i pewnością siebie, nikt nie rozpoznałby w nim niepozornego buchaltera podrzędnej firmy handlowej, który jeszcze przed godziną wchodził na schody tej samej kamienicy.

Dzisiaj musiała udać mu się wielka gra, która miała wywieść go z Warszawy na wielki szlak europejski. Ostatnie tygodnie strawiły wszystko, co posiadał aż po ostatnią stuzłotówkę, która mu jeszcze pozostała.

Aby przeprowadzić swój wielki plan, musiał pięć do sześciu razy zjeść obiad w „Bristolu", a ponieważ nie mógł w stroju wieczorowym pokazywać się na swej ulicy, gdzie mimo wszystko znało go kilka osób jako kupca Walińskiego, dlatego musiał przespać się w jakimś lepszym hotelu. Dzisiaj jednakże powinno to się już raz skończyć. Na dłużej tych 100 złotych nie mogło już wystarczyć. Pierwsze trzy kolacje w „Bristolu" nie doprowadziły do niczego i żadna odpowiednia zwierzyna nie zjawiła się w polu jego obstrzału.

Dopiero wczoraj znalazł to, czego szukał. A więc dzisiaj rozpocznie i skończy się wielka gra.

Jeszcze było zawcześnie na kolację. Dzień był parny, duszny i niezwykle gorący, jak na tę porę roku. Waliński postanowił odbyć drogę do hotelu piechotą, aby nie zjawić się zbyt wcześnie i po drodze przemyśleć dokładnie wszystkie szczegóły wielkiego planu.

Od dziesięciu mniejwięcej lat stosował w życiu stale pewien system. Oto, skoro „zdobył" pewną większą sumę pieniędzy, ekwipował się całkowicie nanowo, kupował walizki, ubrania, bieliznę, wogóle wszystko, co było potrzebne do podróży dla wytwornego pana i jechał w szeroki świat.

To tu, to tam, zawsze tylko do wielkich centrów ruchu turystycznego, ale nigdy dwa razy w to samo miejsce. W pierwszorzędnych hotelach nawiązywał znajomości. Wrodzona dystynkcja w zachowaniu się, wytworna niemal niedostępna rezerwa w traktowaniu ludzi, no i... nazwisko... przybrane zależnie od okoliczności — wogóle całe „wzięcie" — sprawiało, że obcy poczytywali sobie za niebywałe szczęście, jeśli raczył zaszczycić ich swoją znajomością. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności wykonywał zgóry powzięty plan, zabierał to, co do niego nie należało, przyczem ograniczał się zawsze głównie do... biżuterji damskiej.

Ze szczególną satysfakcją przypomniał sobie naraz jedno ze swych pociągnięć. Było to w Grand Hotel Quirinal w Rzymie: Mr i Mrs Brown z Chicago. „Król konserw wieprzowych" wprost nieprzyzwoicie bogaty, typowy dobroduszny wół, czy też byk roboczy, a żona jego, typ nowobogackiej, która szczerzyła, a raczej ostrzyła sobie złote zęby na wytwornego arystokratę, jakim był podówczas Waliński, dzięki „pożyczonemu" tytułowi hrabskiemu: Hrabia de Szebeko-Walski. „Hrabia" pokazywał im z największą powagą, nie drgnąwszy nawet powieką i tłumiąc ziewanie „sight-seeings" Rzymu: Św. Piotra, Galerje, Colosseum itd., aż stękali ze zmęczenia. Pewnego pięknego dnia — a był to jedynasty z rzędu ich znajomości — wszedł poprostu do ich pokoju i to w tym czasie, kiedy przeżuwali i przetrawiali obfity obiad w restauracji hotelowej i zabrał sobie kilka „drobiazgów"... na pamiątkę. Rzecz jasna, że nie wziął żadnego z tych, które zwykle nosili ze sobą. Miał zresztą wielki wybór. Po południu już wszystkie te ładne przedmioty były zapakowane w listach poleconych i wysłane do Polski pod rozmaitymi adresami, a hr. de Szebeko-Walski postanowił przyspieszyć swój wyjazd z Rzymu. Było to zresztą niemal rzeczą zbyteczną, bo kiedy w jedenastym dniu rozstawał się z „amerykańskimi przyjaciółmi" — ci nawet nie zauważyli jeszcze ubytku dotyczących „drobiazgów".

Ale cóż z tego, kiedy jest się wciąż lekkomyślnym i wydaje się wszystko na prawo i lewo, nie odkładając nic na czarną godzinę. Wprost trudno potem się dziwić, że przychodzi nagle fatalna chwila, kiedy jest się skazanym na marną wegetację — jak właśnie teraz.

No... ale już najwyższy czas, aby to odmieniło się nareszcie.

Ofiary miał już upatrzone. On — kolos ze świńskiemi oczkami i obwisłemi policzkami, brutal w każdym calu, całkowicie nastawiony na używanie niewybrednych, a zakazanych rozkoszy żywota, o tubalnym głosie,

Ciąg dalszy na str. 12.



NA HALI
OBIADOWĄ PORĄ
FOT. SCHOSTAL

Ciąg dalszy ze str. 10-tej.

miętoszący stale w wywiniętych wargach grube cygaro. Ona — krzykliwa i gadatliwa, jak sroka i ciekawa wszystkiego, co jej się nie tyczyło. Oboje pozbawieni wszelkiego gustu aż po paznokcie, bez prymitywnego obycia towarzyskiego. Pieniędzy, rzecz jasna, jak lodu, co zdradzał wypchany portfel, zarysowujący się wyraźnie nazewnątrz poprzez marynarkę, a ona z trudem znalazłaby jeszcze miejsce na swem ciele, aby zawiesić, czy umieścić jakąś biżuterję; takie miała ich mnóstwo.

Od dwu dni byli w Warszawie. Dzisiaj wieczorem mieli pójść do opery. Zatem o ósmej, a raczej lepiej nieco później, tak np. o wpół do dziewiątej, kiedy moc podróżnych przyjeżdża wieczornym pociągiem i w hallu hotelowym jest urwanie głowy. — Wtenczas zażąda poprostu klucza od N-ru 124, otrzyma go bez żadnych trudności, wejdzie na górę, otworzy drzwi i zabierze, co w ręce mu wpadnie. A potem zejdzie na dół, odda klucz w portjerni i... opuści hotel, jakby nigdy nic z tem jednak, aby więcej już tutaj nie wrócić.

Obmyślając plan kampanji, wszedł do Ogrodu Saskiego. Tu usiadł na ławce i popatrzył na zegarek. Jeszcze było za wcześnie. Naraz opadło go uczucie, którego doznawał właściwie bardzo rzadko — uczucie bezrozumnej bojaźni. W takich momentach uświadamiał sobie dopiero, jak bardzo kochał wolność. Nie był z tych, co czasowy pobyt w więzieniu uważają za coś nieuchronnego i mniej lub więcej spokojnie przyjmują, jako nieuniknioną konsekwencję swego zawodu.

W takich momentach chwilowego załamania się i wejrzenia w głąb siebie umacniał się jeszcze bardziej w postanowieniach, które już na początku swej karjery powziął — a mianowicie po pierwsze, aby zawsze pracować bez żadnego wspólnika, po drugie, aby mieć zawsze jedną tylko „sprawę“ na oku — a jeśli się ona powiodła, aby dłuższy okres odczekać do następnej.

A po trzecie, po trzecie: Bez kobiet. T. zn. nigdy nie dopuszczać kobiety, choćby najbardziej umiłowanej do swej tajemnicy. To byłoby poprostu samobójstwem, czemś najgłupszem i najbardziej niebezpiecznem.

Od dziesięciu lat z rzędu nie powinęła mu się nigdy noga i wszystko byłoby dobrze — z wyjątkiem tego, że... nie potrafił nigdy utrzymać pieniędzy przy sobie. Ledwo je zdobył, a już rozpływały się mu pod palcami; no, a wtenczas zaczynały się dla niego „ciężkie czasy“ aż do następnej „gry“.

Waliński wstał z ławki i szedł powoli w stronę hotelu. Niebo wisiało stalowe, upał był wprost nie do zniesienia i groziło burzą. Waliński pragnął, aby to, co go czekało, było już za nim. Wprawdzie obliczenia jego były bez zarzutu, ale przypadek, z którym należało się zawsze liczyć, mógł pokrzyżować wszystko. W każdym razie musiał liczyć się z trzema ewentualnościami: 1-o boy mógł przypadkowo zapamiętać sobie, kto mieszka pod N-rem 124. Może nie narobiłby zaraz hałasu i w takim wypadku Waliński oświadczyłby z nonszolancją: Ach, przepraszam, ale który właściwie jest mój numer?! — no i poszedłby w stronę wyjścia, jakgdyby chciał się upewnić u portjera, jaki jest numer jego pokoju, no i... zwiałby jaknajprędzej, zanim boy narobiłby hałasu.

Druga ewentualność: pokojówka mogłaby „nakryć“ go w pokoju w ciągu tych trzech minut, których potrzebowałby do wykonania swego planu. W tym wypadku udałby znów, że pomylił się co do pokoju.

Trzecia i ostatnia ewentualność: upatrzone ofiary mogłyby z tego lub innego powodu wrócić wcześniej do hotelu i zastać go w swym pokoju. No, ale to było już najmniej prawdopodobne, byłby to poprostu jakiś fatalny pech, tak, że właściwie wykluczał tę ewentualność. Waliński wszedł po raz ostatni, jak sądził — do restauracji hotelu „Bristol“, oddał swoją garderobę i zajął miejsce w hallu. Ruch był wielki. Bez przerwy kołowrót drzwi wypluwał coraz to nowych gości. Służący hotelowi wnosili i wynosili walizy przyjezdnych i odjeżdżających. Boye przebiegali, wywołując numery pokojów, a kelnerzy przemykali się z tacami w ręku pomiędzy tłumem gości. Portjerzy i informatorzy musieli odpowiadać na setkę pytań i załatwiać różne sprawy.

To było właśnie życie, które Waliński lubiał i do którego właściwie nadawał się w całej pełni. Z chęcią trwałby nadal w tej tak mu odpowiadającej atmosferze, przypominającej mu utracony „wielki świat“, gdyby nie przyszedł tutaj w ściśle określonym celu i gdyby nie zaszło coś, co poważnie zaniepokoiło go. W piątym fotelu klubawym, licząc od niego, siedział znowu gość, którego już po raz trzeci zauważył i który zawsze jakby umyślnie siadł w pobliżu Walińskiego.

Chociaż przybysz miał na grubych palcach liczne, aż nazbyt zresztą liczne, pierścionki wraz z olbrzymim sygnetem i mimo względnej powierzchownej elegancji, tchnęło od niego jakiemś wewnętrznem, swoistem niechlujstwem. Siedział, założywszy nogę na nogę i zdawał się czekać na kolację, obserwując jednak bardzo dokładnie całe otoczenie.

Kto to mógł być taki? Kto obserwował, czego szukał tutaj? Czyżby może jego?! Byłbyż to może ajent policyjny? Instynkt mówił Walińskiemu, że nie, tembardziej czuł się podrażnionym, gdyż nie mógł pozbyć się myśli, że tego człowieka musiał już raz gdzieś widzieć. Ale gdzie? I kiedy? Pamięć, tak zawsze bystra na punkcie ludzi i twarzy raz choćby widzianej — teraz zawodziła go. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Wstał i przeszedł koło obcego i to tak blisko, że ten musiał cofnąć wysuniętą nogę. Waliński udał się do baru, gdzie zamówił aperitif i wypił go bardzo szybko. Ale nieznajomy nie ruszył się z miejsca.

W jakie dziesięć minut później, kiedy zaanonsowano kolację, zjawiła się w jadalni para małżeńska, na którą Waliński czekał niecierpliwie. Wobec tego ulokował się w ten sposób, że miał przed sobą zarówno ową parę, jak i niepokojącego nieznajomego. Kolacja trwała pół godziny. Waliński nie miał zupełnie apetytu w przeciwieństwie do nieznajomego, który „obżerał“ się wprost nieprzyzwoicie zakrapiając jedzenie obficie trunkami.

Nareszcie poczęto wstawać od stołów, a także upatrzona parka udała się do swego pokoju. Waliński usiadł w hallu, zamówiwszy czarną kawę. To samo uczynił i ten „drugi“. Po jakimś czasie małżeństwo zeszło na dół, oddało klucze w portjerni i udało się na operę.

Teraz należało czekać na zmianę personelu w portjerni. To było nieco nudne i denerwujące. Ale ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy, kiedy pił małemi łykami kawę i palił z miną zblazowaną cygaro.

Nareszcie zmienili się obaj dyżurujący w portjerni. Młodszy ruchliwszy przyszedł na miejsce starszego i zaraz miał pełne ręce roboty: to odbierał listy lub je oddawał, to znów podawał klucze od pokojów i odpowiadał na ciągle zadawane pytania.

Czemu ociągał się jeszcze? Poprostu dlatego, ponieważ chciał bezwarunkowo odczekać, aż ten „drugi“, który również zdawał się czekać na coś, pójdzie sobie. Waliński począł się wkońcu niecierpliwić; już zamierzał podnieść się z klubowego fotela, ale w tejże chwili ujrzał, jak ten drugi poderwał się, przeszedł obok niego, przystąpił do portjera i kazał podać sobie klucz. Waliński opadł zpowrotem na fotel. A zatem ten typ mieszkał również w tym hotelu.

Co to?! Jeśli go wszystko nie myli, jeśli własne oczy nie zwodzą go — to ten klucz, którego zażądał obcy, no i... otrzymał, nie był innym kluczem, jak tylko z pod Nr. 124! A ten nie wisiał tam wcale. Walińskiemu wydało się, jakby ktoś poderwał mu nogi. Automatycznie włożył cygaro do ust i wypuścił kłąb dymu w powietrze. Wytężył wzrok, jak tylko mógł najbardziej, aby upewnić się raz jeszcze. Wkońcu wstał i podszedł do portjera, aby zadać mu jakieś obojętne pytanie. Teraz już nie miał żadnej wątpliwości, że miejsce, gdzie klucz z pod Nru 124 wisiał, jest puste. W tym momencie stanął przy portjerze ten drugi, o dwa kroki tylko oddalony od Walińskiego i oddawał klucz wzięty na niecałe pięć minut. Na blaszce, przywieszonej przy kluczu, widniały wyraźnie cyfry 1, 2, 4, szczerząc niejako wzgardliwie zęby do Walińskiego, zanim portjer odebrał od niechcenia klucz i równie od niechcenia zawiesił go na miejscu.

A potem nastąpiło coś, co Walińskiego wyprowadziło już ostatecznie z równowagi. Oto rzeczone indywiduum otarło się — jakby prowokacyjnie — rękawem o Walińskiego i spojrzało mu bezczelnie w twarz, uśmiechając się drwiąco a triumfalnie, poczem zaraz zniknęło w kołowrocie drzwi. Waliński stał dość długo jak skamieniały, dając się potrącać przechodzącym gościom. Nagle uświadomił sobie jedno: Już teraz wiedział, gdzie widział go: oto u pasera Telegi. Teraz już nie musiał łamać sobie dłużej głowy. Wiedział już wszystko. Zagryzł usta i szybkim krokiem udał się do szatni, odebrał garderobę i opuścił hotel. Kiedy wyszedł na ulicę, upał wciąż jeszcze nie stracił nic ze swej mocy duszącej. Sam nie wiedział kiedy, znalazł się znów w Ogrodzie Saskim na tej samej ławce, co poprzednio. Wszystko to, co się stało, wydało mu się rzeczą wprost nie do wiary. Jak to stać się mogło, że wszystkie przygotowania, obmyślone w każdym szczególe najdokładniej, mógł pokrzyżować niespodzianie ten typ, nie brany zupełnie w rachubę i sprzątnąć mu w ostatniej chwili łup tuż z przed nosa. Ale co za bezczelność, co za tupet niebywały! Ani miną, ani drgnięciem powiek nie zdradził się z swemi zamiarami, nie stracił apetytu i nie wpuścił przez cały czas cygara z ust.

Może już jutro zrana będzie notatka w dziennikach, wprawdzie bez wymienienia nazwiska złodzieja, no i hotelu. Niewesołe myśli opadły Walińskiego, jak uprzykrzony rój moskitów. Co robić? Z setki pozostało już niewiele. I czy dzisiaj zanocuje w drugorzędnym hotelu, czy też w „Bristolu“ — a przenocować musiał wogóle gdzieśkolwiek — czy wyda dwadzieścia złotych, czy mniej — to już go nie uratuje. Wobec tego opuścił ogród i zawołał taksówkę, zresztą w sam czas, bo za chwilę lunęło jak z cebra i pojechał na dworzec, gdzie w przechowalni znajdowała się jego wytworna walizka ze wszystkiem, co potrzeba do przenocowania. Zabrawszy walizkę, kazał zawieźć się... do „Bristolu“, jako iż to nie przedstawiało dla niego obecnie żadnego niebezpieczeństwa. Nikt przecież na świecie nie śmiałby wiązać jego osoby z kradzieżą co dopiero dokonaną i jeszcze nie odkrytą. Gdzież byłby złodziej, który dobrowolnie i bez powodu wracałby na miejsce swej zbrodni. Prawdziwy złodziej z pewnością nie uczyni tego.

Było wpół do 10-tej, kiedy Waliński zajechał w ulewnym deszczu pod „Bristol“. Kazał dać sobie pokój, ale mały, tylko na jedną noc i... zgóry zapłacił. Pokoik ten znajdował się o dwa piętra wyżej od N-ru 124, ale po tej samej stronie. Umyty i odświeżony zjawił się Waliński o 10-tej w hallu i postanowił czekać na... rozwój wypadków.

Na afiszu operowym, wywieszonym w hallu, wyczytał, że opera kończy się o 11-tej. Miał więc jeszcze prawie godzinę czasu do

Dokończenie na str. 20-tej.

TO i OWO ze świata



Zebrał MIECZYSŁAW DUNIN BORKOWSKI ● Ilustr. WIT GAWĘCKI

EGZOTYCZNY ZWYCZAJ ŚLUBNY.

Dotychczas zachował się u tubylców na Filipinach oryginalny zwyczaj zawierania ślubu.

Narzeczeni udają się w dniu ślubu wraz z rodzicami do lasu palmowego i tam oblubieńcy wdrapują się na dwie przeciwległe stojące palmy, następnie obydwie strony starają się tak nagiąć wierzchołek palmy, żeby narzeczony mógł dotknąć czoła swej bogdanki... no i cały obrzęd skończony, a młodych uważa się za prawnie poślubionych. Bardzo łatwy i pomysłowy sposób, ale nie bardzo dający się zastosować u nas!



35 LAT GORĄCEJ MIŁOŚCI.

Niepowszedni wypadek zaszedł w ostatnich dniach w Liverpolu. Mianowicie odbył się tam ślub 53-letniego Herberta Goulda z również 53-letnią niewiastą. I nic by nie było oryginalnego w tym ślubie, gdyż pobierają się często nawet dużo starsi, gdyby nie to, że „państwo młodzi" zakochali się w sobie jeszcze przed 35 laty, a nie mogli się wówczas pobrać, gdyż nie zgadzały się na to rodziny, zarówno panny, jak i pana młodego. Herbert Gould z rozpaczy wyemigrował do Kanady i tam się ożenił i przez 20 lat żył szczęśliwie, straciwszy zupełnie kontakt z pierwszą narzeczoną. Dawna jego wybranka serca również wyszła zamąż. Dziwnym zbiegiem okoliczności obie strony prawie równocześnie owdowiały. Gdy Herbert dowiedział się, że jego dawna „miłość" znów jest wolna, zaraz przyjechał do Liverpoolu. I teraz już nic nie stało na przeszkodzie, żeby marzenia „młodych" mogły się spełnić. Państwo młodzi, jak głosi prasa amerykańska, wyjechali w podróż poślubną do Kanady.



ORYGINALNY SPOSÓB UCZCZENIA PAMIĘCI ZMARŁEJ ŻONY.

W hotelu „Savoy" w Londynie mieszkała przez szereg lat żona adwokata z Nowego Jorku pani Elżbieta Angus. Ponieważ była wielką miłośniczką ptaków, więc codziennie wychodziła do parku Victoria i tam rozsypywała pokarm dla wróbli.



Gdy dwa lata temu umarła pani Elżbieta, mąż jej postanowił dla uczczenia pamięci zmarłej, dalej dostarczać biednym wróbelkom codziennego pokarmu. Dlatego też zawarł pan Angus z dyrekcją hotelu „Savoy" umowę, na podstawie której dyrekcja zobowiązała się dzień w dzień przez cały rok niezależnie od pogody rozsypywać w parku Victoria resztki jedzenia zawarte w dwóch koszach.

I teraz można codziennie spotkać dwóch kelnerów obarczonych koszami z resztkami jedzenia, którzy zawsze o tej samej porze idą z hotelu „Savoy" do parku Victoria i tam wysypują zawartość koszy. Umowa ta obowiązuje dyrekcję hotelu przez 20 lat.

PARYSKI BAR PIĘKNOŚCI.

W ostatnich czasach otwarto w Paryżu osobliwy bar. Mianowicie zamiast potraw podają w tym barze wszelkiego rodzaju przybory do upiększenia twarzy, jak puder, szminki, farby do rzęs, perfumy i tym podobne rekwizyty, bez których nie może się obejść prawdziwie „modna" paryżanka. Bar piękności ma kolosalne powodzenie, gdyż za drobną opłatą kilku franków, można odrazu doprowadzić do „porządku" wygląd zewnętrzny nadwyrężony przez deszcz, wiatr lub inne wypadki.

DZIEŃ TEŚCIOWEJ W AMERYCE.

Niedawno powstał w Ameryce „Związek Teściowych". Nawet małżonka prezydenta Stanów Zjednoczonych przyjęła protektorat nad tym oryginalnym Związkiem. Związek



ten postanowił urządzić coś w rodzaju „Dni teściowej". Udział w tych „Dniach" brało aż pięć stanów, mianowicie: Colorado, Canzas, New-Mexico, Oklahoma i Texas. Same uroczystości odbywały się w miasteczku Amarillo w stanie Texas. — W pochodzie oprócz gubernatorów wyżej wymienionych pięciu stanów, brał udział przeszło 100 tysięczny tłum publiczności, z 15 orkiestrami i nie kończącym zda się sznurem samochodów, staromodnych rowerów, platform i t. p.



Ciekawi jesteśmy, czy ta oryginalna bądź co bądź demonstracja umocni stanowisko teściowej w „ognisku domowem"?

NEMEZIS GENJUSZÓW



„Wenus w kuźni Wulkana" — obraz P. Rubensa.



Od lewej: E. Meissonier, Rembrandt van Riju, sir John Millais, Hans Dürer, Frank Holl, Antonio Correggio, S. F. Millet.

Przejeżdżający przez Antwerpję w połowie siedemnastego stulecia cudzoziemiec, ciekaw poznania wybitnych mieszkańców oraz pięknych zabytków miasta, nie omieszkał zaopatrzyć się w listy polecające do malarza Piotra Pawła Rubensa. Pierwszy lepszy przechodzień wskazał pałac mistrza, położony w ogrodzie pełnym marmurowych portyków, pawilonów, biustów alegorycznych i rzeźb, stosownie do wymagań ówczesnej mody.

Wewnątrz piękne meble i wspaniałe freski na ścianach i sufitach, zdradzały bogatego właściciela rozmiłowanego w sztuce.

Liczna służba zapełniała przedpokoje. — Wprowadzano gościa do wielkiej komnaty, obitej zieloną kordubańską skórą, o pięknie wytłaczanym złotym deseniu. Monumentalny kominek z czarnego marmuru zajmował pół ściany. Podłoga pokryta była miękkiemi wschodniemi dywanami, wreszcie kilka obrazów wiszących na ścianach, obrazów mistrza — pana domu, potęgowało wrażenie spokojnego, pewnego siebie dobrobytu.

Tuż obok pracownia artysty, sanktuarjum, skąd wyszło tyle bóstw mitologicznych, by ożywiać i rozweselać pałace i zamki królów i książąt.

Pięknej postawy mężczyzna przechadza się z szeroką paletą w ręku, między sztalugami, na których stoją rozpoczęte, lub dopiero naszkicowane obrazy. Dwóch sekretarzy siedzi przy stołach i pisze listy pod dyktando mistrza, który czasem, jakby od niechcenia, poprawia śliczną twarz na najbliższym blejtramie lub szkicuje fałdy powłóczystej szaty na innym. Człowiek ten, to oficjalny ambasador infantki Izabelli, wicekrólowej Niderlandów, to serdeczny przyjaciel dwóch królów: hiszpańskiego i angielskiego, nadworny malarz królowej Francji — to Rubens.

Jeśli gość potrafił zyskać sobie przychylność mistrza, to ten bez wątpienia pokazał mu swe piękne zbiory, przechowywane w specjalnym, okrągłym budynku, oświetlonym zgóry jak rzymski panteon. Tam w szafach i skrzyniach rwie oczy najpyszniejsza kolekcja drogich kamieni: gemmy, antyczne kamee, wazy i posągi starożytne, przywiezione z niemałym trudem i nakładem kosztów z Grecji i Italji, zapełniają skarbiec. Obok piękna bibljoteka, pełna rzadkich druków i rękopisów. Ale to jeszcze nie cały majątek mistrza. W samej Antwerpji posiada on poza tem siedem innych domów, a w okolicy wspaniały zamek z basztami zwodzonym mostem. Wszystko to są owoce ciężkiej wprawdzie, lecz jakżeż lukratywnej pracy, oraz genjalnego talentu Rubensa. Jego tryb życia, jego szeroki gest, budzi ogólny podziw. Gdy razu pewnego książę Braganza zaprosił artystę do Villa Viciosa i przysłał mu sto pistolów w podarunku, Rubens odmówił przyjęcia pieniędzy i kazał księciu powiedzieć, iż ma zamiar w przejeździe, odpocząć i zabawić się wraz ze swą świtą w Villa Viciosa i w tym celu wiezie z sobą miljon pistolów na wydatki.

* * *

A oto w dwieście lat później w małem miasteczku Barbison, pod Paryżem, stał na progu nędznego, nawpół walącego się domku, człowiek biednie ubrany, w drewnianych sabotach na nogach: Jan Franciszek Millet. Jeden z jego obrazów osiągnie kiedyś cenę trzy ćwierci miljona złotych, pełnowartościowych franków, niestety stanie się to już po śmierci malarza. A tymczasem Millet żyje w skrajnej nędzy. Ugina się pod ciężarem długów. Winien jest piekarzowi, rzeźnikowi i innym. Są to drobne sumy, ale wobec kompletnego braku jakichkolwiek zasobów, wobec niemożności spieniężenia swych dzieł, Millet boryka się z ciężkiemi zagadnieniami wyżywienia rodziny. Nie wie czy będzie miał jutro na chleb dla swych dzieci. Kiedyś trzydzieści franków otrzymanych za wymalowanie szyldu dla akuszerki, spadło jak z nieba i pozwoliło mu kupić trochę opału podczas mroźnej zimy.

A przecież miał przyjść czas, w którym obrazy Milleta staną się pierwszorzędną ozdobą muzeów, oraz kolekcyj prywatnych i osiągać będą ceny nadzwyczajne.

Millet nie był wyjątkiem w historji malarzy. Już w starożytności Protogenes z wyspy Rodos, mając pięćdziesiąt lat, pociągał smołą kadłuby okrętów, w braku innego, bardziej lukratywnego zajęcia. W czternastem stuleciu największy malarz prymitywu, Stefan Locher, o którego obrazy rozbijają się muzea angielskie i niemieckie, umarł w Kolonji w nędznym szpitalu. A później, podczas gdy niejednemu przyniósł talent malarski wiele zaszczytów i duży majątek, wielki Rembrandt umiera w przytułku dla ubogich w Amsterdamie. Ruysdaël, którego pejzaże warte są dziś setki tysięcy, kończy życie w szpitalu; Correggio, umiera przy ciężkiej pracy, chcąc zarobić na utrzymanie rodziny. Niektórzy traktowali malarstwo, które nie mogło zapewnić im utrzymania, jako fach poboczny. Sławny Łukasz Koch, był kucharzem w oberży. Klaudjusz Audran, mistrz i nauczyciel sławnego Watteau, był nocnym stróżem, a Jakób Ruysdaël, syn Salomona, by mieć z czego żyć, szyje buty klientom, a dopiero w wolnych chwilach, które mu pozostawił zawód szewca, maluje swe piękne obrazy.

* * *

A oto garść cyfr:

W parę lat po śmierci Rembrandta, sprzedano jego „portret własny", umieszczony dziś na honorowem miejscu w muzeum Louvru, za 12 franków. Jego „Narodzenie"

znajdujące się w National Gallery w Londynie, osiąga cenę 305 franków, a „portret męski" jeden frank i pięćdziesiąt centymów, razem z ramą. Watteau zarabiał około dziewięciu franków tygodniowo, pracując od rana do wieczora u przedsiębiorcy malarza, który wyzyskiwał jego talent. Ingres rysował portrety za 10 fr. od sztuki i jeszcze musiał szukać protekcji posłańca miejskiego, który go polecał swym klientom. Corregio za swą olbrzymią pracę w katedrze parmeńskiej miał otrzymać śmiesznie niską, nawet na owe czasy cenę, jednak niesumienni mieszczanie z Parmy zwlekali z wypłaceniem mu i tej niewielkiej sumy. — Wreszcie po wielu zachodach, prośbach i wyczekiwaniach, wypłacili mu należność, ale w drobnej miedzianej monecie. Correggio, chcąc zaraz zanieść pieniądze rodzinie, przymierającej z głodu, tak się zmęczył upałem, daleką drogą i ciężarem worka z miedziakami, iż w parę dni potem umarł, a miał dopiero 40 lat.

Później czasy się zmieniły.

Na ostatnie lata zeszłego stulecia i pierwsze obecnego, podczas ogromnego rozkwitu ekonomicznego tego okresu, przypada czas wielkiego zapotrzebowania i pokupu na dzieła sztuki malarskiej i innej. Bogato zaopatrzone w środki materjalne muzea większych miast europejskich oraz miljonerzy tak europejscy, jak i amerykańscy organizują publiczne, bądź prywatne galerje obrazów. — Celniejsze dzieła wielkich mistrzów osiągają wówczas niebywałe ceny, na czem, po większej części zarabiają handlarze sztuki, bądź też modni współcześni artyści. Taki np. Meissonier, którego największe powodzenie przypada w tym czasie, sprzedał obraz swój, zatytułowany „Kirasjerzy z roku 1805" za 198.000 fr. Inny obrazek 15 cm szeroki i 10 cm wysoki sprzedał za 90.100 fr. a sześć różnych dzieł podobnej mniej więcej wielkości za taką cenę, iż obliczono, że 1 metr kwadratowy jego obrazów wart był 2 miljony!

Stąd znany żart. — Dowcipniś paryski opowiada: „Zdarzyło mi się straszne nieszczęście, byłem zaproszony do pracowni Meissonier'a, który pokazywał mi swój ostatni obraz, wielkości karty do gry, by lepiej obejrzeć, wziąłem arcydzieło do ręki. Gdy je położyłem na miejsce, mistrz wydał głośny okrzyk przerażenia: przez nieuwagę oparłem palec na świeżej jeszcze farbie i w rezultacie miałem za 10000 fr. malowidła na ręku".

Zwłaszcza portreciści zarabiali wówczas kolosalne sumy, ale i inne dzieła malarzy rodzajowych były też bardzo dobrze płacone. Burne-Jones, malarz legend i nastrojowych widoków, zarabiał rocznie około 200.000 fr.

Dochód roczny innych artystów angielskich jak naprzykład: sir John Millais'a lub Franck Holl'a obliczono na przeszło pół miljona fr. Od legedarnych czasów, gdy Kandal król Lidji płacił na wagę złota obrazy malarza Bularcha, nigdy sztuka nie była tak lukratywną. Jednak nie można powiedzieć, by ci tak dobrze wynagradzani malarze tworzyli dzieła bardziej wartościowe niż ich koledzy po fachu, którzy żyli i pracowali w nędzy. Dwaj artyści współcześni, nawet w jednym roku 1815 urodzeni, a mianowicie Jan Franciszek Millet i Meissonier, stanowią typowy przykład. Pierwszy całe życie borykał się z nędzą i sprzedawał swe arcydzieła dosłownie za kawałek chleba, drugi potrafił zbywać swe piękne obrazy po nadzwyczajnych cenach, zbierając, zresztą bardzo zasłużenie, ogromny majątek. Jednakże ani jedno z dzieł Meissonier'a nie osiągnęło tej zawrotnej ceny, za którą, niestety już po śmierci artysty, sprzedano obraz Millet'a „L'angelus" t. j. 750.000 franków przedwojennych, co uczyniłoby mniej więcej 1.250.000 złotych naszej waluty.

Podobny los spotykał również poetów, muzyków i wogóle artystów-twórców we wszystkich dziedzinach ludzkiej myśli. Niemniej przysłowiowym od głodującego malarza był i pozostał poeta, nie mający na obiad. Słynny obraz malarza z połowy XIX wieku, Spitzwega, pt. „Der arme Poet", przedstawiający „kochanka muz", leżącego na barłogu pod parasolem, gdyż sufit przecieka i piszącego wiersze — jest niezłą ilustracją tej tragikomedji genjuszów. Najciekawsze jest to, że człowiek, który tak odczuł nędzę artysty, to jest Spitzweg, był sam zamożnym człowiekiem i nigdy nie znajdował się w podobnej sytuacji.

Jakiemiż prawami rządzą się stosunki podaży i popytu wśród twórców arcydzieł?

Pierwszym i najważniejszym warunkiem materjalnego powodzenia twórczości artystycznej w danym kraju, jest jego zamożność i dobrobyt materjalny mieszkańców. —



Na prawo: Autoportret Rembrandta.

Poniżej: Najsłynniejszy obraz Milleta „Anioł Pański".



Sztuka nie jest związana z koniecznemi potrzebami życia codziennego i pozostanie, chyba na długo jeszcze, produkcją czysto luksusową. Wobec tego najważniejszą kondycją do odpowiedniego, w stosunku do talentu twórcy, wynagrodzenia za umiejętność, pracę, a przedewszystkiem za iskrę Bożą, zawartą w dziele, jest zasłużona sława, oraz właściwa zapłata pieniężne, możliwa li tylko w środowiskach ludzi bogatych. Dlatego też w najbardziej zamożnych miastach, ongiś we Florencji, Wenecji, Rzymie, Antwerpji, Amsterdamie, Bruges, a obecnie w Londynie, Nowym Jorku, Paryżu, malarze mogą się spodziewać odpowiedniej oceny materjalnej swych dzieł. Ale to jeszcze nie wystarcza. Trzeba, aby opinja publiczna, albo poprostu moda wzięła malarza w opiekę. Taką opiekę zyska artysta, gdy w swych dziełach odpowiadać będzie pewnym pojęciom czy uczuciom, niekiedy bardzo krótkotrwałym i zmiennym, przystosowywać swój talent, swoją twórczość do upodobań chwili, naginać się do gustu i wymagań tych, co płacą.

Jednakże dla prawdziwego talentu taki kompromis z opinją publiczną bywa zwykle nie do przyjęcia, genjusz nigdy nie da się spętać w swej twórczości artystycznej, nie pójdzie nigdy wbrew przekonaniom, a piękno, które wyraża swemi dziełami, prędzej czy później wyjdzie z ukrycia i zyska zasłużoną sławę i poklask tłumów.

Tadeusz Abdank Piotrowski.



W OJCZYŹNIE ESKIMOSÓW

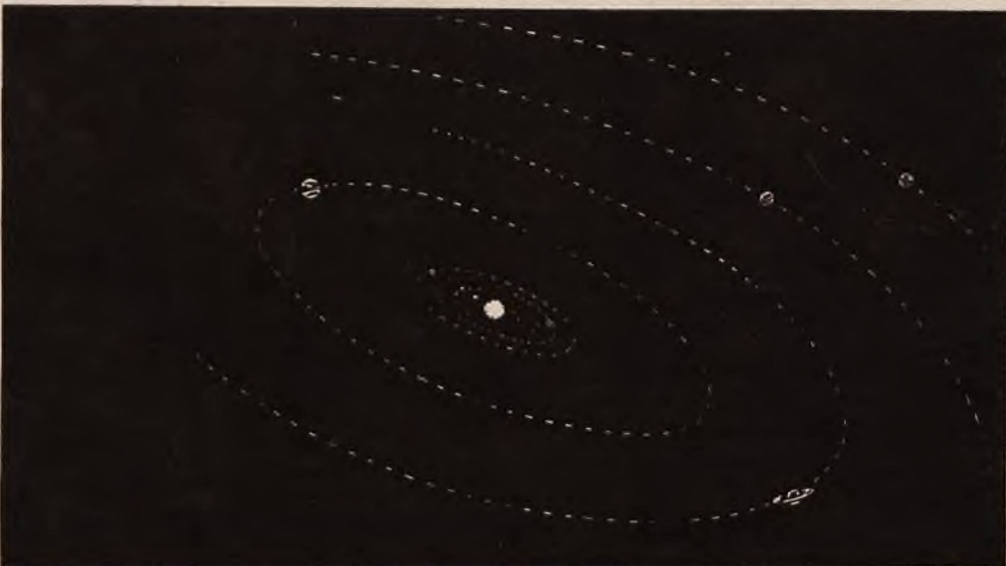
...I na dalekiej Północy lato budzi mieszkańców tych stron do nowego życia po długich miesiącach zimowych, w czasie których tamtejszą znikomą florę pokrywa olbrzymia warstwa śniegu, a fauna narówni z ludźmi wegetuje do pierwszych, cieplejszych promieni słońca. One to wywabiają z ukrycia zwierzęta i mieszkańców krainy polarnej — Eskimosów, którzy na swych zwinnych kajakach wypływają wówczas na przybrzeżne wody Grenlandji w poszukiwaniu za zdobyczą w postaci ryb, fok i białych niedźwiedzi.

„Prochem jesteśmy i niczem...”

Słowa, użyte w tytule, a będące parafrazą Konradowej improwizacji, dzisiaj przestały być jedynie metaforą poetycką. — Zdobycze współczesnej fizyki tak dalece sięgnęły wgłąb budowy materji, że w ostatnim etapie pojęcie to stało się niemal synonimem nicości. Znakomity angielski astronom Eddington uważa, iż „próżnia odkryta wewnątrz atomu przez współczesną fizykę jest bardziej niepokojąca, niż ta, którą astronomja odkryła w przestrzeniach międzygwiazdowych“.

Przyjrzyjmy się temu problemowi bliżej. Dla porównania przypomnijmy nasz system słoneczny. Wiemy, iż stanowi on układ, w którym centralnem ciałem jest słońce, dokoła którego krążą najrozmaitsze ciała niebieskie, przedewszystkiem planety. Układ ten zajmuje przestrzeń, której granicą możemy nazwać orbitę najdalszej planety. Do niedawna planetą taką był Neptun, oddalony od słońca średnio 30 razy tyle, co ziemia tj. około czterech i pół miljardów kilometrów. Zatem średnica naszego układu słonecznego wynosi 9 miljardów kilometrów. Niedawno jednak odkryto jeszcze jedną planetę, położoną poza Neptunem, którą nazwano Plutonem. Obszar więc naszego układu powiększył się w średnicy o kilkaset miljonów kilometrów.

Poniżej: Nasz układ słoneczny jest zbiorem kilku grudek materji, zagubionych w niezmierzonym kosmosie.

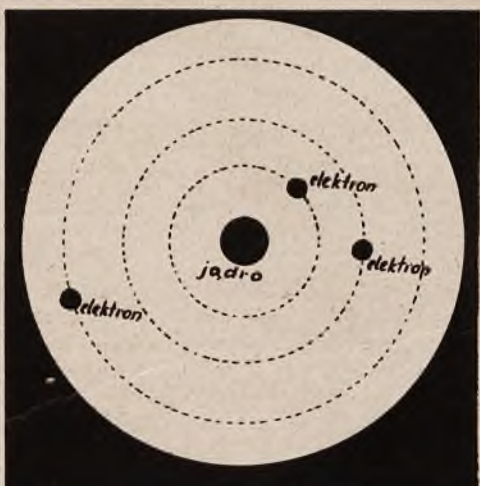


I oto w takiej olbrzymiej przestrzeni krąży kilka większych planet, poza tem rój planetoid, komet i meteorytów. W tym całym układzie przytłaczająco największym ciałem jest słońce. Średnica jego wynosi około 1.400.000 km. Zatem największe ciało w układzie zajmuje 1/640 część samego układu. Reszta ciał niebieskich, dodana do słońca, zwiększyłaby tę masę materji o ledwie dostrzegalny ułamek. Nie będzie więc dużej przesady, jeżeli powiemy, iż układ słoneczny składa się z próżnej przestrzeni i drobnej ilości materji, lub jeszcze dosadniej, że jest prawie pusty. Nie robi to jednak na nas specjalnego wrażenia, ponieważ uświadamiamy sobie, że nie o pustkę w ścisłem tego słowa znaczeniu tutaj chodzi, lecz o ten fakt, iż materja w świecie jest rozrzucona na olbrzymich obszarach kosmicznych i jeżeli co tutaj ma zdumiewać, to nie pustka systemu słonecznego, lecz odległości pomiędzy poszczególnemi skupieniami materji.

Inna jednak będzie nasza reakcja, gdy zwrócimy się w stronę układów nieskończenie małych. Do niedawna światopogląd nasz, jeżeli chodzi o problem budowy materji, poprzestawał na t. zw. hipotezie atomistycznej. Według niej wszelka materja w swoim ostatecznym składzie była zbudowana z drobnych, niepodzielnych cząstek, zwanych atomami. Aczkolwiek atomy wyobrażano sobie jako bardzo małe układy o średnicy poniżej miljonowych części centymetra, to jednak atom był ostatnim etapem podzielności każdej materjalnej części.

Cytując wspomnianego Eddingtona, możnaby rzec, iż panowało podówczas wyobrażenie atomu typu „kuli bilardowej“. Przy tej koncepcji powietrze i ciała gazowe były rzadkiem skupieniem tych kul-atomów, ciecze — były to skupienia bardziej zwarte, lecz luźne, natomiast ciała stałe stanowiły zbitą masę atomów.

Na prawo: Atom składa się z jądra, krążących wokoło niego elektronów i próżni.



Elektryczna teorja budowy materji, która się zjawiła w końcu XIX wieku, nie przekreśliła naszych wyobrażeń o materji, mającej charakter jakiejś ciągłej, dobrze wypełnionej masy. Wprawdzie pomiary ujemnej elektryczności doprowadziły do wniosku, iż skupiona ona jest w ładunkach o niezmiernie małej masie i wymiarach, lecz elektryczność dodatnia nadal była jednolitym skupieniem w postaci kuli o wielkości atomu.

Pierwszy cios podobnym wyobrażeniom zadał angielski uczony Rutherford. Mianowicie wykazał on w r. 1919, iż elektryczność dodatnia wcale nie przedstawia się jako kula wielkości atomu. Jest to skupienie również niezmiernie małe, o wiele mniejsze, niż atom. Jest to „jądro“, umieszczone gdzieś w głębi atomu, otoczone równie małemi cząsteczkami elektryczności ujemnej. „Tak oto po raz pierwszy opróżniono całkowicie zasadniczą objętość atomu“ (Eddington). Niepodzielny, ostateczny składnik materji okazał się sam bardzo złożoną konstrukcją.

W parę lat później duński znakomity uczony, również laureat Nobla, Niels Bohr, rozwinął tę teorję w szczegółach i od tego czasu mimo wszelkich, nieraz gruntownych modyfikacji, planetarny model atomu pozostał jako trwała zdobycz współczesnej fizyki.

Przypatrzmy się teraz budowie takiego „współczesnego“ atomu. Wielkość całego układu atomowego wynosi jedną stumiljonową część centymetra. Średnica elektronu tj. elementarnego skupienia elektryczności, który jak planety dokoła słońca, krąży dokoła środka atomu, wynosi 1/50.000 część średnicy atomu, czyli przeliczona na centymetry, wynosi jedną pięciotryljonową część cm. W środku atomu znajduje się jądro, które ma masę 1840 razy większą od masy elektronu, lecz objętością tylko nieznacznie przewyższa wymiary elektronu.

Zróbmy model atomu np. wodoru. Jest to najprostszy atom. Weźmiemy ziarnko grochu o średnicy 1 cm. Będzie to jądro atomu, a więc środek naszej konstrukcji. Następnie ukręcimy nieco mniejszą kulkę z waty (aby zaznaczyć, że jądro jest cięższe), proporcja jednak będzie daleka od rzeczywistości. Gdzie należy tę kulkę z waty umieścić? Ponieważ wiemy, że cały atom jest 50.000 razy większy od elektronu, więc promień atomu (połowa średnicy) będzie większy od niego 25.000 razy. Zatem naszą kulkę z waty należy umieścić w odległości 2.500 cm, czyli 250 metrów od ziarnka grochu. Gdyby kulka z waty zechciała teraz w tej odległości krążyć dokoła ziarnka grochu, mielibyśmy atom wodoru powiększony... pięć tryljonów razy.

Pytamy teraz: czem wypełnimy resztę? Odpowiedź: niczem! Atom składa się z jądra, krążących dokoła niego elektronów i... próżni. Biorąc zaś pod uwagę wyżej przytoczone proporcję, dojdziemy łatwo do wniosku, iż atom — to właściwie pusta przestrzeń.

Idąc dalej po tej linji rozważań, możemy śmiało twierdzić, iż wszystkie widzialne przedmioty składają się przedewszystkiem z próżni. Tak jak kupa siana, poddana pod prasę hydrauliczną, zamienia się w małą kostkę zbitych badyli, tak samo materja, gdyby można było ją poddać jakiejś prasie, zamieniłaby się w drobny okruch. Jak Eddington oblicza gdyby z ciała ludzkiego usunął całą wypełnioną przestrzeń i złożyć w zbitą masę elektrony i części składowe jądra (zwane protonami), to człowiek zamieniłby się w punkcik ledwie dostrzegalny przez mikroskop. Każdy przedmiot materjalny w tem świetle może być porównany z rozdmuchaną bańką mydlaną: pozornie jest wielka, lecz gdy się ją zbierze, to mydła nie wystarczy na umycie małego palca.

Znacznie dawniej fizjologja zadała cios naszej dumie, gdy wykazała, że organizm ludzki w 70% składa się z wody. Dzisiaj fizyka wręcz chce nas unicestwić, twierdząc, iż jesteśmy przedewszystkiem próżnią i to nie w przenośni, co filozofowie podobno już dawno stwierdzili, lecz w sensie dosłownym. To też nawet powiedzenie: prochem jesteśmy i niczem — jest zabarwione dużym optymizmem. Jesteśmy mniej „prochem“ — natomiast więcej: „niczem“!

L. K.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM:

Roman Niewiarowicz

AKTOR — REŻYSER — AUTOR



Roman Niewiarowicz — jedna z najwybitniejszych indywidualności artystycznych naszego młodego pokolenia.
Fot. Halina Zalewska — Warszawa.

Pierwsze najsilniejsze wspomnienie o Niewiarowiczu to chyba — nos. Nos naturalny i doprawiany.

Zgórą dziesięć lat temu na scenie krakowskiej było dwóch „nosali", wiernych sobie aż do dnia dzisiejszego przyjaciół. Dwaj Cyrano de Bergerac. Dr Zygmunt Nowakowski i Roman Niewiarowicz. Obaj kreowali w krakowskim teatrze im. J. Słowackiego tytułową rolę w komedji bohaterskiej Edmunda Rostanda.

Oczywiście każdy z nich był innym Cyranem (zarówno w życiu prywatnem, w twórczości scenicznej, jak i w komedji Rostanda. Ale mówmy tylko właśnie o Cyranie z tego dramatu); a obaj byli doskonali.

Niewiarowicz był jeszcze może, a raczej z pewnością, za młody do tej roli. Na chwałę Zygmunta Nowakowskiego, jako dyrektora teatru, zapisać trzeba, że usilnie zawsze popierał ludzi młodych, czuwał nad nimi, umożliwiał im objawienie talentu i jego rozwój. Zaryzykował powierzenie roli Cyrana Niewiarowiczowi i nie zawiódł się. Niewiarowicz nie miał jeszcze tej kapitalnej techniki scenicznej, wirtuozostwa gry, co Nowakowski — nie był w scenach nastrojowych i dramatycznych tak wzruszający, jak Nowakowski, któremu dławiony żar miłości do Roksany i uczucie przyjaźni do Chrystjana kładło matowe cienie na barwę głosu, — ale zato Niewiarowicz, opanowawszy dobrze wszystkie tony bogatej roli, był przedewszystkiem zuchwałym, buńczucznym Gaskończykiem, z kapitalną dykcją, romantycznym polotem, brawurowo deklamującym kaskady dźwięcznych wierszy.

Świetnie mówił wiersze o nosie, doskonale przedstawiał się otoczeniu, jako spadły z księżyca:



MANEWRY JESIENNE". Teatr Wielki, Warszawa (r. 1938). — Wykonawcy ról głównych: M. Karwowska i E. Zayenda z reżyserem Romanem Niewiarowiczem (w środku).
Fot. J. Malarski — Warszawa.



Na lewo: Niewiarowicz jako Cyrano de Bergerac w komedji Rostanda na scenie krakowskiej (r. 1928).

Mój kubrak ubogi
pokryty jest eterem. O, to kawał duży!
Mam pyłu gwiazdowego pełno z tej podróży.
w mych oczach, u ostróg mam pęk sierści planety,
a na kurcie, patrz waszmość, jeszcze włos komety!

— — — — — — — — —

A drugie silne wspomnienie o dawnym Niewiarowiczu z lat jego pracy w krakowskim teatrze — to Pan Młody w „Weselu" Wyspiańskiego. Wspaniale mówił wiersz, jakby upajał się jego muzyką, własnem słowem.

A obok tych dwóch ról — stylowi amanci w komedjach Fredry (Ludmir w „Panu Jowialskim"), dziesiątki karkołomnych i żywiołowy śmiech budzących ról farsowych itd. itd., czego w tej sekundzie pamięć, wiedząc o masie i jej dobrym gatunku, szczegółowo uświadomić sobie nie może.

— — — — — — — — —

Dokończenie na str. 29-ej.



„KIEDY WRÓCISZ?". Teatr Słowackiego, Kraków (r. 1928). Od prawej: Z. Jaroszewska, N. Niedźwiedzka i R. Niewiarowicz.



„DOBÓR NATURALNY". Teatr Słowackiego, Kraków (r. 1927). Od lewej: Zygmunt Nowakowski i Roman Niewiarowicz.

Dokończenie ze str. 12.

powrotu nic nie przeczuwającej parki. Perspektywa stanowczo nudna, ale trudno. Przeszedł do czytelni i przeglądał dzienniki. Chciał napisać list, ale przypomniał sobie, że właściwie nie ma do kogo. Potem poszedł do baru, zamówił cocktail i zamienił z mikserem kilka słów. O 11-tej był znowu w hallu. O 11½ rozpoczął się silniejszy przypływ gości, co wskazywało na to, że teatry pokończyły swe przedstawienia.

Wkońcu zjawili się wyczekiwani dorobkiewicze i udali się do swego pokoju. Jakiś czas musiało potrwać, zanim odkryją kradzież i wybuchnie skandal. Już zgóry cieszył się na myśl, że wszystko, co nastąpi teraz zawdzięczać będzie swemu rywalowi, dla którego, mimo wszystko, nabierał stopniowo czegoś w rodzaju uznania, że tak sprytnie potrafił go wykiwać.

Waliński wrócił do baru, usiadł na wysokim stołku i postanowił czekać.

Niedługo czekał, bo nagle posłyszał krzyki i głosy oburzenia i najwyższej irytacji.

Po chwili zbiegli oboje po schodach: on z podniesionym kołnierzem smokinga, ona w szalu narzuconym na ramiona. Widocznie oboję poczęli się już rozbierać, kiedy zauważyli kradzież.

— Naszyjnik perłowy... 100.000 złotych — zaraz sprowadzić policję! gdzie policja!... Skandal... Żądam pełnego odszkodowania...

— Ależ proszę się uspokoić... wszystko zaraz wyjaśni się... zaraz zrobi się rewizję.

Goście w hallu otoczyli rozindyczoną parę dookoła, nawet mikser opuścił bar tak, że Waliński pozostał sam w barze i nie zamierzał wcale powiększać grona gapiów.

Naraz, jak błyskawica, przebiegła jego mózg nowa myśl:

— A jeśli zostawili drzwi otwarte do swego pokoju?! a może szafy i szuflady i.... jeżeli nikogo niema w korytarzu?!... Pokój jego był po tej samej stronie, chociaż o dwa piętra wyżej.

Rozejrzał się dookoła. Nikt nie troszczył się o niego. Nikt nie widział go. Szybko zerwał się ze stołka i wszedł do hallu, gdzie wciąż cała uwaga była jeszcze skupiona na okradzionych gościach. Słyszał słowa gwałtowne i uspakajające. Widział tylko same plecy. Waliński wstąpił spokojnie na schody i szedł nie za szybko, aby za chwilę, kiedy już był na zakręcie, iść coraz prędzej, nie spotkawszy nikogo po drodze.

Najważniejszą teraz rzeczą było, czy korytarz był wolny, czy powietrze było „czyste"?

Na szczęście dla niego, nikogo nie było, ani kelnera, ani pokojówki. A drzwi od Nr 124 były tylko przymknięte. Światło przedzierało się przez szparę w drzwiach na korytarz.

Jeszcze raz rozejrzał się w obie strony. Nikogo. Potem jednym susem był już w pokoju. Ujrzał to, czego pragnął. Oto górna szuflada szafki była nieco wysunięta. Teraz wystarczyło tylko sięgnąć ręką do szuflady i zabrać dwa, trzy, cztery etui i... wpuścić je do kieszeni.

Przez chwilę nadsłuchiwał. Cisza. A więc zpowrotem do drzwi... przez korytarz,, na lewo i bocznemi schodami dwa piętra wgórę. Był to już najwyższy czas, bo za sobą usłyszał głosy jak zbliżały się zdołu ku górze. Już rozróżniał piskliwy głos kobiecy i spokojny głos dyrektora hotelu.

Waliński dotarł szczęśliwie do swego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Zaświecił światło. Przez trzy minuty stał bez ruchu przy drzwiach, nadsłuchując. Cisza.... Z westchnieniem ulgi opadł na krzesło. Teraz już mógł być spokojnym. Z kieszeni wydobył etui i otwierał jedno po drugiem. Butony, dwie bransolety i pierścionki. Wystarczyło. Mniejwięcej 15—20.000 zł. Narazie nie potrzebował więcej.

W pokoju było nieznośnie duszno. Waliński otworzył okno i wpuścił chłód mokrego powietrza do pokoju. Grzmiało i błyskało się bez ustanku.

Waliński rzucił się jak długi na łóżko, zapalił papierosa i oddał się marzeniom. Już widział siebie w błyskawicznych pociągach, mknących w dalekie kraje, na pokładach luksusowych parowców. Roztwierało się zpowrotem przed nim życie w wytwornych hotelach: Majestic, Ritz, Bedford... rasowe kobiety i „Va banque" w światowych kasynach gry. Nowe przygody i emocjonująca gra, kryjąca w sobie tyle niebezpieczeństw, a więcej jeszcze pokus. Ale przez jutro musi jeszcze pozostać w Warszawie. Jeszcze trzeba zrobić porządek w mieszkaniu, oddać klucz gospodarzowi i zabrać garderobę od „profesora" i przewieźć na dworzec no i.... kilka słów pożegnania Michalewskiemu.

Opuściwszy Warszawę postanowił już do niej nie wracać. Zbyt dużo nerwów kosztowała go ostatnia gra, tak bardzo zależna od przypadku, którego nie lubiał brać w rachubę. Odtąd postanowił pracować nadal wedle starej wypróbowanej a niezawodnej metody. Również należałoby pomyśleć „poważnie" o przyszłości i odłożyć coś na „czarną godzinę".

Kiedy wyjmował z walizki pyjamę i necassaire, aby na jego miejsce włożyć wszystkie etui przyszło mu naraz na myśl, że jutro — mimo wszystko — będzie musiał pójść do pasera Telegi, aby coś niecoś z drobiazgów „spuścić"... na drogę. Może spotka na schodach tego drugiego, który w tym samym celu przyjdzie tam. A kiedy uprzytomnił sobie, że będzie mógł teraz z podniesioną głową spojrzeć mu w twarz i wytrzymać ironiczne spojrzenie — wówczas uśmiechnął się po raz pierwszy z zadowolenia. I z tym uśmiechem na ściągłej twarzy, na której tak rzadko gościł zarówno uśmiech, jak i smutek, zasnął w wygodnem łóżku.

KONIEC.

Dokończenie ze str. 19-tej.

Niewiarowicz już dość długo mówi ze sceny. Jako aktor, reżyser i autor. Zamało mówiono o nim. Niechże więc „wywiad" z nim będzie tym razem monologiem tego, co miał zadawać pytania. Nie będzie to monolog kompletny, informacje o Niewiarowiczu będą miały luki, ale cóż temu winien podpisany, że artysta i autor przez kilka lat ostatnich pracował intensywnie, twórczo, nie dbając o rozgłos, w teatrze lwowskim Horzycy, a obecnie przebywa w Warszawie, że jego utwory dramatyczne częściej są grane i lepiej znane zagranicą, niż u nas w kraju.

Bo Niewiarowicz, zachęcony przez Zygmunta Nowakowskiego, poświęcił się reżyserji i literackiej twórczości komedjowej. — Otoczył go później życzliwą opieką i Horzyca, wystawiając mu we Lwowie pierwsze próby, jak „Operę w kratkę", czy do spółki z p. Otockim napisany reportaż „Addis Abeba", ujęty oryginalnie w formę udramatyzowanych listów korespondenta wojennego do wielkiego dziennika, a dający obraz walki pomiędzy angielskim Intelligence Service a wywiadem japońskim o terytorja naftowe w Abisynji, walki, której ofiarą pada wolność tego kraju. Reportaż ten krył w sobie marzenia autora o uzdrowieniu ustrojów społecznych, o stworzeniu szczęśliwszych dla ludzkości czasów.

Główną postacią sztuki jest słynny członek angielskiego wywiadu płk. Lawrence, ale bohaterem — wypadki historyczne. Sztuka zdobyła sobie uznanie i tem także, że najbezstronniej przedstawiała interesy włoskie i abisyńskie, bez sugerowania widzom sympatyj lub antypatyj. Akcja reportażu przenosiła widzów z szpitala w Londynie do klasztoru koptyjskiego w Abisynji, stamtąd do obozu rasa Gugsy (na kilka godzin przed jego przejściem na stronę włoską); następna odsłona ukazywała pałac negusa w Addis Abebie, piąta główną kwaterę marszałka Badoglio, a ostatnia pokład parowca między Kalkutą i Tokio, na którym dochodzi (w sztuce) do bardzo dramatycznego starcia.

Szerzej dał się poznać Niewiarowicz jako autor w r. 1935, gdy Marja Malicka na otwarcie swojego teatru w Warszawie wybrała jego dwuosobową komedję: „I co z takim zrobić". (Partnerem Malickiej był Sawan). Trud skonstruowania i wypełnienia interesującą treścią trzech aktów utworu o dwóch rolach, udźwignął Niewiarowicz wcale szczęśliwie i dał utwór miły, dowcipny, zręcznie napisany, zapowiadający nowy talent w tej dziedzinie lekkiej komedji, tak potrzebnej polskim teatrom, a przez sfery teatralne i krytykę niedocenianej. Zbyt często zato stosuje się wobec polskich autorów, mających ambicje dostarczenia teatrom tego rodzaju rodzimych utworów, nadmiernie surową krytykę, zamykając oczy na nędzotę importowaną do kraju.

W ubiegłym sezonie triumfalnie — dosłownie triumfalnie, wszędzie zdobywając wielki sukces — przeszła przez sceny polskie komedja Niewiarowicza „Gdzie djabeł nie może...", napisana już niemal doskonale, o dobrych sytuacjach, świetnym dialogu, zręcznych dowcipach, satyrycznym, a wyrazistym rysunku postaci, mająca już także poważniejsze walory, ujmująca głębiej psychologiczne zagadki i problematy społeczne. Konfrontując wiedzę z potęgą reklamy, życie mężczyzny z życiem kobiety, twierdzi Niewiarowicz, chyba zbyt ryzykownie, że jedynie kobiety... nostki wartościowe, to tylko kobiety a mężczyźni niezdolni są do samodzielnego życia. To, jak mówi bohaterka komedji, trutnie z pszczelego ula.

W Niewiarowiczu jako autorze, znającym dobrze tajemnice i rzemiosło sceniczne, tkwi świetny majster, który, stale się pogłębiając i rozwijając, od lekkiej komedji niewątpliwie dążyć będzie do coraz poważniejszych i artystyczniejszych osiągnięć. Obecnie ukończył Niewiarowicz nową komedję p. t. „Poco zaraz tragedja", która w jesieni ma się ukazać na jednej ze scen w Warszawie. Teatr Nowy w stolicy zapowiada już na miesiące letnie jeszcze inny utwór, zresztą dawniejszy, Niewiarowicza p. t. „Kochanek to ja" z autorem, jako aktorem i reżyserem, który w ostatnim czasie przygotował w Warszawie inscenizacyjnie farsę „Dama od Maksyma" w Teatrze Letnim i operetkę „Manewry jesienne" w Teatrze Wielkim. A więc nieustannie głowa i ręce pełne roboty...

Jak już wspomniałem, Niewiarowicz-komedjopisarz — lepiej jest znany zagranicą, niż u nas. Jego „I co z takim zrobić" wystawiono niedawno w Hamburgu, a uprzednio grano na kilku scenach niemieckich. we Frankfurcie, Sztutgarcie, Kolonji i przez 3 miesiące zrzędu w Berlinie. Komedja „Gdzie djabeł nie może" dostała się na deski teatrów w Berlinie, Budapeszcie i Bukareszcie. Wiedeń zapowiada „Ludzi na sprzedaż". Jedną ze sztuk Niewiarowicza przerobiono zagranicą na film.

Może więc tą drogą, przez ekrany kinoteatrów, pozna publiczność polska, a w szczególności krakowska, twórczość Romana Niewiarowicza, dziecka Krakowa i wychowanka teatru im. J. Słowackiego.

(s. w. bal.)

Fotografja amatorska



Na lewo: „Kościół św. Marka w Wenecji" — E. Schäffer — Kraków.



Na prawo: „Colley" — Dr Azet, Kraków.



W kole: „W parku zamkowym" — St. Stolarzewicz, Żywiec.



Na lewo: „Pejzaż" — Hanka Armatowicz, Tarnów.



Poniżej: „Wiosna w Zakopanem" — Dr Stanisław Kowenicki.



Na prawo: „Pod światło" — Józef Podbreżny, Nowy Sącz.
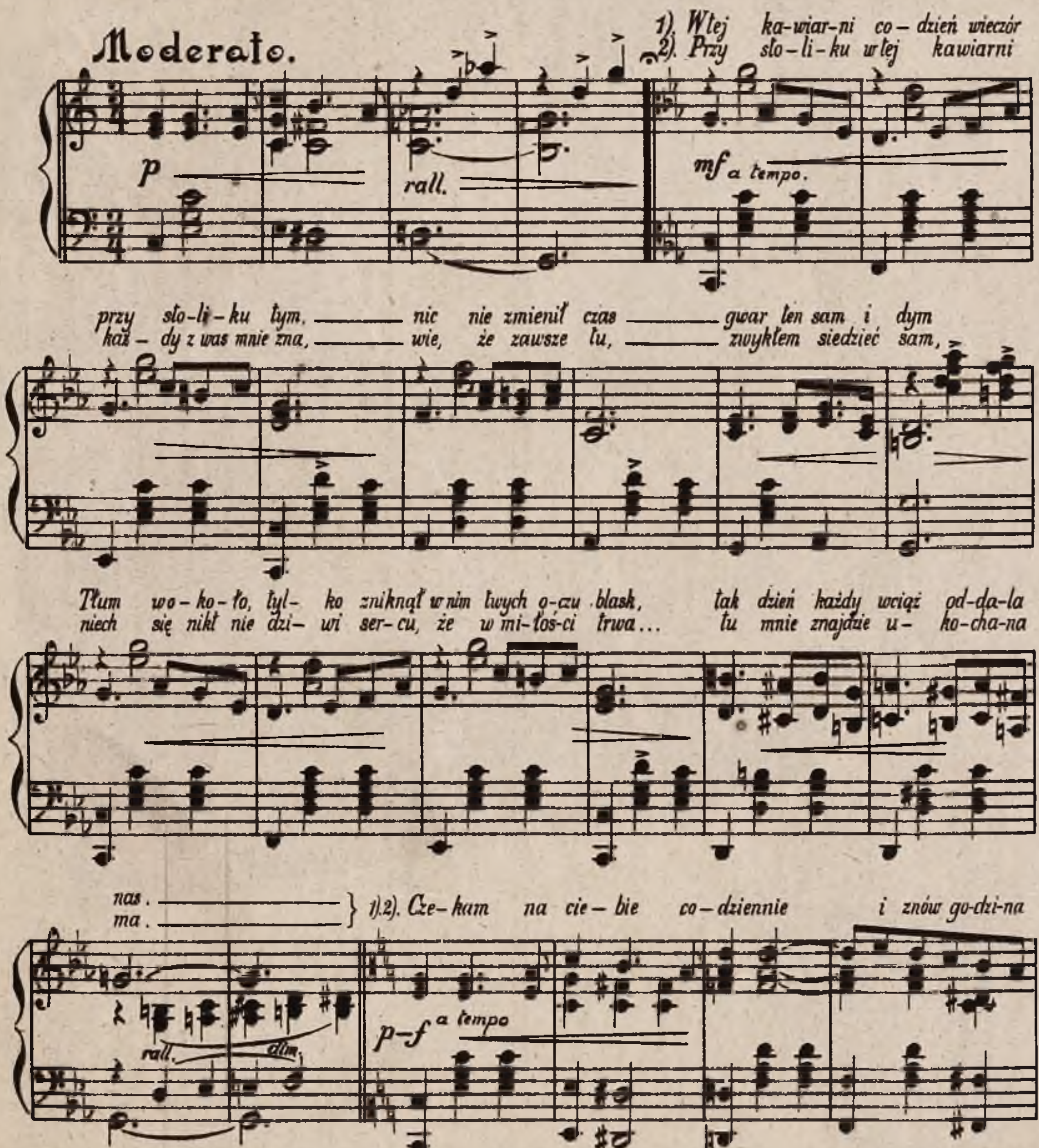
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"
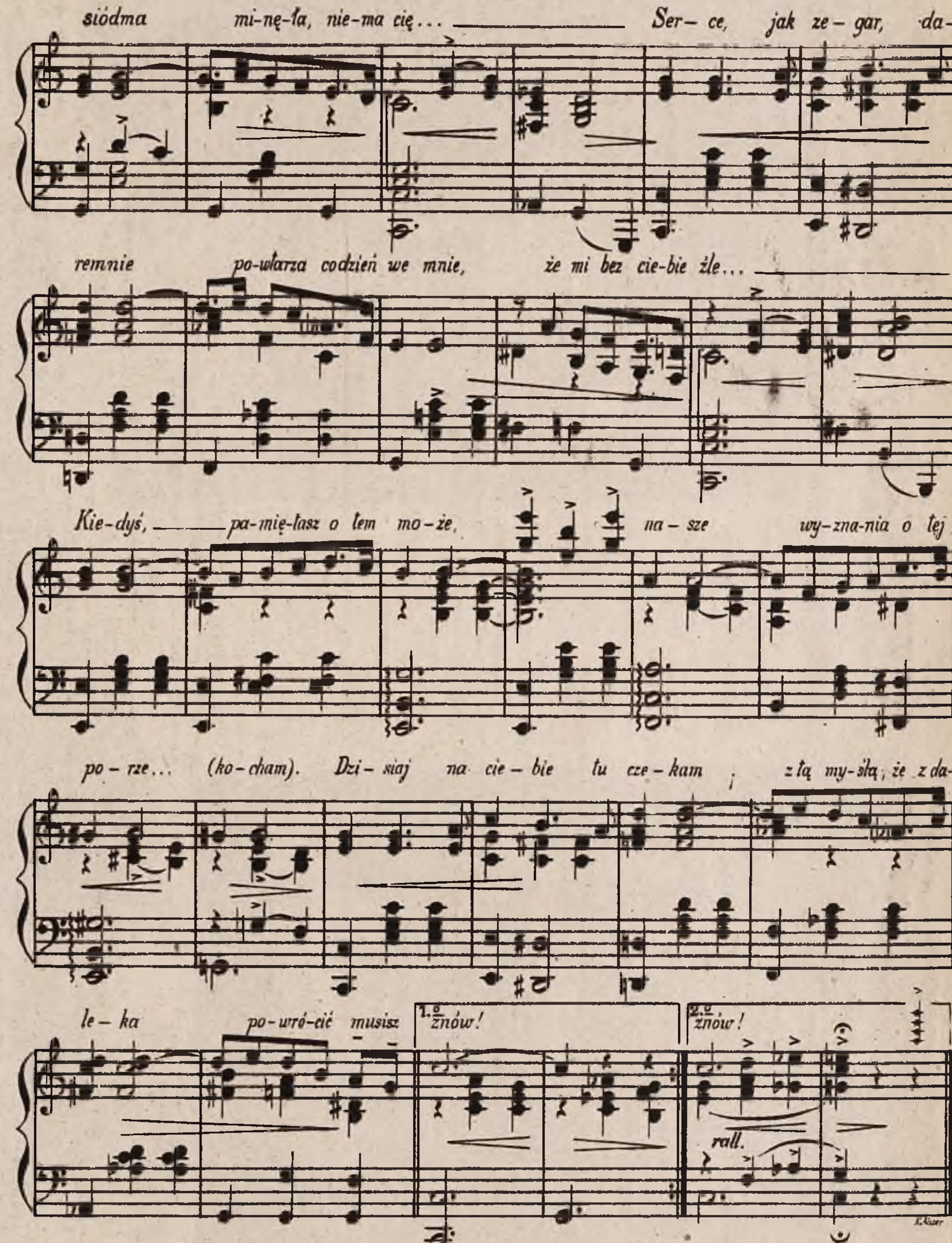
CZEKAM NA CIEBIE...

WALC ANGIELSKI Z FILMU „LUDZIE KAWIARNI"

Słowa:
Janusz Stępowski

Muzyka:
Adam Lenczowski





O człowieku dźwigającym krzyż

ANDRZEJ STOCKER

OBRAZEK

I.

Że Per Nyborg dźwigał krzyż — o tem wiedziała wkrótce po jego pojawieniu się cała wieś.

Młodociany wódz plemienia, które jeszcze dokładnie nie wiedziało, czy ma pójść w ślad Indjan. czy szajki opryszków, a napewno wyrośnie na dzielnych, wesołych rybaków, otóż ten młodociany wódz włożył dwa palce do umorusanej buzi, gwizdnął przeciągle i powiedział:

— Per Nyborg nosi krzyż.

Tego samego wieczora po wszystkich niskich domkach, gdzie płoną lampy naftowe, młode twarze, jakby zawstydzone, rozpowiadały dziwne wieści o Perze Nyborgu, niosącym krzyż. Starsi, którym wyobraźnia i bogatszy słownik pozwalają na dobieranie właściwych wyrażeń, — zmienili określenie „nosi" na „dźwiga" — i odtąd Per Nyborg dźwigał krzyż.

Ten jego krzyż, materjalnie zresztą niewidoczny, zdawał się być jedynem bogactwem duszy Pera, tak, jak obdarte spodnie i zasmarowana koszula zajmowały się dekoracją jego chudej szarości cielesnej. Innemi słowy, Per Nyborg był goły, jak mysz kościelna.

Karjerę w wiosce rybackiej zaczął od dość niefortunnej dla siebie roli kelnera w małej jedynej knajpie na wyspie. Niefortunnej — bo już na drugi dzień właściciel zwrócił się do niego z żądaniem, któremu by Don Quijot, walczący z wiatrakami, nie sprostał, by wyrzucił za drzwi dwu olbrzymich przybyszów ze Statlandu. Wyrzucony został w rezultacie sam i to zgodnie przez właściciela i obu drabów, których miał być pogromcą.

Drugiem jego zajęciem było codzienne wieczorne i dwukrotne w niedzielę „targanie" za sznur kościelnej dzwonnicy, jako-że dobry pastor niedawno przed przybyciem Pera na wyspę Vansö odprowadził do bram niebieskich ostatniego swego pomocnika. Ale i to zajęcie stracił — gdy coś trzy razy zkolei, nie — przespał, nie przepił, a całkiem poprostu przemarzył nad brzegiem swoje wieczorne dzwonienie.

W takich właśnie marzeniach — już bez obowiązku przerwania ich w określonym na dzwony czasie — zastał Pera Nyborga mały wódz hultajskiej bandy i bardzo nieśmiało, ale to bardzo nieśmiało, zapytał — czy pan Per rzeczywiście nosi krzyż, o którym on sam, Harald Karlström, puścił kiedyś bajkę. Teraz jest gotów go przeprosić i w ciągu jednego dnia naprawić krzywdę, choćby krzykiem, że Per Nyborg nie dźwiga krzyża, lub czemś innem w tym rodzaju.

Per Nyborg podniósł ciężkie powieki, i, jakby dopiero co zbudzony, odpowiedział:

— O ile chodzi o stan mojej duszy, to rzeczywiście dźwigam krzyż, a brzemię jego nie jest wcale lekkie.

Wprawdzie Harald dokładnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co to jest brzemię, ale i tak mocno się uradował, że przecież odgadł coś, co było czyjąś tajemnicą.

— Tak chłopcze, dźwigam krzyż, a krzyżem tym jest to, że Pan Bóg, lepiąc mię z gliny, musiał zapomnieć o paru komórkach mózgowych i stąd pochodzi ta abnegacja i brak woli wykonania planów, no i...

— I... co?

— I... poprostu... tchórzostwo — odsapnął Per Nyborg.

Znów niewiele słów z całej tej dziwnej przemowy przemknęło z wyobraźni do świadomości Haralda, ale mały wódz już się tem niewiele martwił. Posiadł to, co najważniejsze i cóż go mogła obchodzić cała niezrozumiała reszta?

II.

— Tylko w ładnych bajeczkach mogą ludzie latami nic nie jeść — pomyślał Per Nyborg i na drugi dzień już od rana zmywał kubły i skrobał kartofle, jako kucharz na Lugrze starego Karlströma, ojca Haralda

Nie można powiedzieć, żeby nowe zajęcie doświadczało bohaterskiej strony jego życia. Mył garnki, gotował, mył garnki, gotował — podczas gdy inni towarzysze księżycowych łowów wyciągali z zegelkoi sieci, z głów stare zapomniane już piosenki i śpiewali ochrypłemi głosami do wtóru falom i gwiazdom. Per Nyborg chodził więc zgarbiony, schowany w sobie — dźwigał krzyż.

Czasami tylko, gdy nikt go nie widział, wyprostowywał się, twarz mu wtedy jaśniała zwycięsko — ale nic wielkiego nie zrobił — marzył tylko, coby zrobił w takiej to a takiej sytuacji.

III.

Droga z łowisk do Vansö na małym rybackim lugrze starego Karlströma wysłana była lenistwem i obżarstwem załogi, a co zatem idzie, podwójną robotą i podwójną goryczą Pera Nyborga. Całkiem więc wesoło musiał odetchnąć, gdy pewnego razu zobaczył nad szalejącą falą, bo była właśnie burza, zielone brzegi małej wyspy Vansö.

Za chwilę lugier był w porcie, dziobem, jak łabędź piersią uderzył o przystań — rybacy zdjęli ziujdwestki, czerwonemi w kraty chustkami starli pot z czół. a później możliwie najgłośniej, by zagłuszyć ryk fal, krzyknęli:

— Uff! Jesteśmy pierwsi!

A tłum z brzegu odpowiedział:

— Tak! Jesteście pierwsi!

Potem stała się rzecz straszna: Gdy cypel z małemi dziećmi, podbity jakąś większą od innych falą, załamał się w pół, zgiął i z przeraźliwym chrzęstem runął w wodę, a z nim pięcioro dzieci, które nie zdołały wyskoczyć!

Co robić!? Starszym ludziom można rzucić liny — a nie dzieciom. Wszyscy, którzy się rzucą na ratunek, zginą.

Stary Karlström popatrzył na niebo, jakby tam chciał szukać pozwolenia na swój szaleńczy krok i już, już byłby skoczył w wodę, gdyby nie.... Per Nyborg!

— Pozwólcie, kaptein — powiedział, a raczej krzyknął — macie żonę, dużo bachorów, a ja? Ja sam!

Odsunął Karlströma na bok, wyprostował się, oczy mu wyjaśniały i runął w wodę. Walka z falami była straszna. Żółty, skudlony łeb Pera raz pokazywał się, raz znikał wśród sinobiałej piany. Ramionami nakryć chciał całe morze, ale ramiona mu słabły i coraz trudniej mu było walczyć.

Żywa fala ludzka na brzegu chwiała się za każdem uderzeniem serc...

Zdawało się, że minęły wieki, zanim Per Nyborg wynurzył się z wody, obładowany, niby czuły ojciec podczas kąpielowych igraszek, całą piątką dzieci.

Za chwilę już był na brzegu, gdzie tłum wiwatował na jego cześć. a z pewnością wrzask ten był niebiańską muzyką w jego uszach. Szeroki uśmiech rozsłonecznił mu twarz i taki już Per Nyborg pozostał na zawsze w pamięci mieszkańców Vansö, bo za chwilę zwalił się jak maszt, podcięty siekierą na ziemię.

Lekarz, a pełno było tych letników na małej wyspie Vansö, przytknął ucho do piersi Pera i niedosłyszalnie, prawie że do siebie mruknął: — Serce!

Jasne było więc zupełnie, że pastor, zanim rzucił grudkę do dołu, w którym okuty dębową trumną spoczywał Per Nyborg, zaczął swą mowę od słów:

— Perze, już zdjąłeś z siebie krzyż...

A pośród innych płaczów, których było dużo nad grobem Nyborga, popłynął ku niebu jeden cichy, ale najczystszy płacz Heralda Karlströma, który prosił Boga, żeby tylko być takim, jak Per Nyborg, „człowiek dzwigający krzyż".

Dokończenie ze str. 9-ej.

umiejętnie rozmieszczony na dużych płaszczyznach papieru i ozdobiony czarnemi rysunkami — daje zadowolenie estetyczne i czyni książkę „przyjemną w czytaniu". Pozatem „Rój" wydał szereg powieści i podróży, ilustrowanych czarnemi rysunkami. (Np.: „Zwierzęta z lasu dziewiczego" — A. Fiedlera, rys. J. Wronieckiego, A. Niemczewskiej i R. Przybyszewskiej).

Niezwykle trudna praca to książka dla dzieci. W szczególności ilustracja i układ przystosowane do mentalności dziecka i jego wrażeniowego odnoszenia się do zjawisk, nastręcza niemałe trudności. Ostanio nakładem J. Przeworskiego wyszła książka pt. „Lokomotywa" J. Tuwima, która stoi nie tylko tekstowo, ale przedewszystkiem graficznie na wysokim poziomie. „Lokomotywa" opracowana została przez spółkę grafików Levitt i Him. Również J. Przeworski wydał dzieło p. t. „Cztery wieki fraszki polskiej", odznaczające się pięknym układem graficznym K. Piekarskiego. Układ książki wzorowany jest na dawnych drukach polskich z XVI i XVII wieku. Książkę zdobią drzeworyty i zdobniki z oficyn J. Hallera, H. Wietora, M. Wierzbięty i innych.

Z pośród firm wydawniczych na wyróżnienie zasługuje Wydawnictwo Polskie P. Wegnera w Poznaniu, które pierwsze w odrodzonej Polsce położyło nacisk na wygląd zewnętrzny książki. P. Wegner — wielki miłośnik książki — nie wypuścił w świat ani jednego druku o złym poziomie graficznym. Z Wydawnictwem Polskiem współpracował artysta grafik Czerper, a także F. Rożankowski, który obecnie mieszka w Paryżu i pracuje dla francuskich drukarń i wydawnictw, odnosząc tam niemałe sukcesy.

Prócz Wegnera, Poznań ma jeszcze jednego entuzjastę pięknej książki. Jest nim J. Kuglin, właściciel drukarni, który własnym kosztem wydał sporo pięknych bibljofilskich tomów.

Tak mniej więcej w ogromnym skrócie wyglądałby przegląd paru z pośród wielkiej ilości — pozycyj dodatnich na rynku księgarskim polskim. Dorobek ostatnich lat jest duży. Wszystkie prawie wartościowe dzieła drukowane są obecnie artystycznie bezbłędnie i tylko może posiadają nieco monotonny wygląd.

Książka — największy przyjaciel człowieka, dowód kultury danego narodu i jego legitymacja w świecie — odzyskuje zwolna wygląd należny, zdobywając ponadto odrębny charakter i piętno polskiego ducha twórczego, który ją wyróżnia dodatnio wśród obcych.

j. m. b.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

CHCESZ BYĆ PIĘKNĄ?

V.

PIELĘGNACJA CZOŁA



Tak układa się palce przy masażu czoła.



Masowanie czoła następuje wachlarzowatym ruchem palców.

Dbałość o estetyczny wygląd jest coraz powszechniejsza w świecie kobiecym, lecz tam, gdzie chodz i o kosmetykę, jest ta dbałość najczęściej ogromnie powierzchowna, ograniczając się do przypudrowania noska i policzków, ukarminowania warg i podkreślenia rzęs i brwi. O czole nie myśli się przeważnie wcale, jakkolwiek jasne, gładkie czoło jest wielkim atutem piękności. Im dłużej pozostanie bez zmarszczek, tem dłużej utrzyma się i cała twarz w świeżym młodzieńczym wyglądzie. A o to przecież chodzi każdej z pań.

Zacznijmy od nastawienia psychicznego, które powinno wypisywaćć stale na czole pogodę ducha, chroniąc je najlepiej od powstawania zmarszczek, te bowiem, towarzysząc bolesnym rozmyślaniom, tworzą bruzdy pomiędzy brwiami i horyzontalne rysy. Aby im zapobiec lub wygładzić, gdyby już były, trzeba stosować masaż czoła, gdyż zmarszczki na czole postarzają ogromnie i nadają twarzy bolesny wyraz.

Masaż czoła przeprowadzamy przy pomocy wskazującego i trzeciego palca prawej ręki. Po natłuszczeniu końców tych palców kremem odpowiednim do danej cery (tłustym dla suchej a schnącym dla tłustej), opieramy je u nasady nosa, poczem przesuwa się niemi delikatnie ruchem wachlarzowatym ku górze. Masaż ten powtarza się codziennie przed spaniem, wykonując 10—20 przesunięć od nosa w górę czoła.

Przy zbliżającym się sezonie poziomkowym należy go wykorzystać dla pielęgnacji cery, a czoła w szczególności. Poziomki rozjaśniają skórę, a nawet przeciwdziałają powstawaniu piegów, które na czole usadawiają się ze szczególnem jakby upodobaniem. Zabieg jest bardzo prosty: pogniecione poziomki nakłada się na czoło i pozostawia na niem kilka minut, poczem zmywa się je letnią wodą. Ponieważ jednak okres poziomkowy jest krótki, dobrze jest przygotować sobie z nich nalewkę ,równie skuteczną, jak i surowe jagody.

Nalewkę przygotowuje się w następujący sposób: pół szklanki dojrzałych, zdrowych i niepognieciconych poziomek zalewa się szklanką wina, dodając kwasu salicylowego na koniec noża. Słoik z tą zawartością obwiązuje się kawałeczkiem białej markizety czy rzadkiego batystu i stawia na tydzień w słońcu na oknie. Po upływie tygodnia zlewa się otrzymaną esencję, nie wygniatając wcale poziomek, dodając 3 dkg gliceryny i tyleż olejku migdałowego, oraz łyżeczkę nalewki benzoesowej.

Nalewką poziomkową zwilża się codziennie przed spaniem czoło przez kilka minut, zmywając ją po przeschnięciu letnią wodą. Działa wybitnie wybielająco, zwężając przytem rozszerzone pory. Wiemy, że groźne wiotczenie skóry nie jest niczem innem, jak właśnie rozszerzaniem się porowatej powierzchni skóry, która już nie może sama powrócić do normalnego stanu. Kuracja poziomkowa ułatwia jej to zadanie, działając odmładzająco i wydelikacając cerę.

Potężnym współczynnikiem zdrowia i pięknego wyglądu jest — nie zapominajmy o tem — sen. Dbając o wygląd, nie zaniedbujmy snu, który sprowadza pożądane odprężenie wszystkich mięśni i nerwów, wygładza zmęczoną cerę i chroni przed zmarszczkami. Ale musi to być sen w świeżem powietrzu, przy otwartem oknie, czy też w dobrze przed spaniem wywietrzonym pokoju. Nie obojętną jest przytem i pozycja w czasie snu, najlepiej bowiem wypoczywa organizm przy pozycji leżącej swobodnie tak, aby zwolniły się wszystkie mięśnie z jakiegokolwiek naprężenia.

Dla pielęgnacji twarzy i czoła dobrze jest przed spaniem zastosować rozpyłowy wodny masaż lub tusz, co sprowadza zdrowy, silny i spokojny sen. Kto cierpi na bezsenność, może z dobrym skutkiem stosować zamiast środków nasennych spożywanie przed udaniem się na spoczynek surowego jabłka, czy kompotu, albo wypicie lemoniady z dodatkiem miodu, pamiętając, że wrogiem snu jest przepełniony żołądek, — wobec czego kolacja składać się powinna tylko z lekkiego posiłku, po którym po upływie godziny, odbytym w międzyczasie spacerze lub paru ćwiczeniach gimnastycznych, sen spłynie dobroczynnie na nasze powieki.

Elwira.



Na prawo: A tak wykonuje się masaż czoła w gabinecie kosmetycznym.



Na lewo: Środki kosmetyczne muszą być przygotowane w idealnie czystem naczyniu.

WĘGIERKI PROPAGUJĄ SUKNIE
O MOTYWACH LUDOWYCH

Panie z najwyższego węgierskiego towarzystwa lansują już od dawna modele oparte na stylizacji narodowych strojów węgierskich. Ta rodzima moda weszła kilka lat temu w życie i znalazła gorącą protektorkę w osobie małżonki Regenta p. Małgorzaty Horthy de Nagybanya.

Motyw ludowy opanował już dziś na Węgrzech całość mody kobiecej. Pięknie prezentują się np. białe suknie letnie, tenisowe i sportowe przybrane czerwonym haftem t. zw. „haftem pisanym igłą“, jakie spotyka się na rękawach koszul włościan z okolic Mezőkövesd. Również zastosowanie motywów włościańskich w odniesieniu do sukien plażowych daje doskonałe efekty; wykończenie tych modeli frendzlą, skopjowaną z fartuszków ludowych, nadaje im bardzo oryginalny i swoisty wyraz.

Bardzo wdzięcznie wyglądają krótkie żakieciki z sukna w kolorach piaskowym, różowym i żółtym w linji ogólnej podobne do staników włościanek z Siedmiogrodu, przybrane barwnym wypukłym haftem, przeważnie o motywach kwiatowych.

W obecnym sezonie lansowany jest oryginalny model kostjumu z lekkiej jasnej



wełny. Spódniczka układana jest w fałdy żakiecik natomiast o szerokich rękawach przybrany jest obłożeniem z zielonego, czerwonego lub bronzowego sukna. Całość wzorowana na ubraniu „csikosa“, t. j. pastucha trzody na nizinie węgierskiej.

Do nowości należy również piękny typ cape'u z białego sukna, przybrany niezmiernie barwnym haftem. Całość tego okrycia jest stylizacja narzuty, jaką noszą młodzi włościanie na nizinach węgierskich. Cape tego typu używają panie jako okrycie na suknie wieczorowe.

Za otwarciem bieżącego sezonu odbyła się w Budapeszcie wielka rewja, na której zaprezentowano serję najnowszych modeli węgierskich. Z licznych przepysznych kreacyj wyróżniała się specjalnie toaleta, własność pani Regentowej Horthy, zestawiona w kilku odcieniach liljowych i przybrana bogato starowęgierskim haftem i welonem z misternie wykonanej koronki węgierskiej podobnej w typie do sławnych koronek brukselskich.

Oklaskiwany był również interesujący model z czarnej żorżety, wykończony białym artystycznym haftem zw. „Sarközi Imzes“.

Na wyróżnienie zasługują również dwie toalety, które w niczem nie ustępowały najwytworniejszym kreacjom paryskim: jedna z białego tiulu, przybrana czarnym tiulem haftowanym starowęgierskim haftem srebrno-złotym i druga z żółtego jedwabiu, przybrana kwiatami z kolorowej gazy.

Stylizowane suknie węgierskie mają już swoją sławę zagraniczną, a nawet za oceanem, gdzie zawiozły je uczestniczki międzynarodowego kongresu kobiet, jaki odbył się w ubiegłym roku w Budapeszcie. Niektóre z demonstrowanych na rewji tualet, nosiły panie z arystokracji węgierskiej, podczas uroczystości weselnych hr. Apponyi w Tiranie.

Strój narodowy, rozpowszechniony na Węgrzech nietylko wśród ludu, ale i najwyższej sfery towarzyskiej, jest jednym z wielu skutecznych sposobów propagandy uprawianej przez Węgrów.

Ten przykład jest godny naśladowania i w Polsce. Malownicze i bogate stroje ludowe jak: krakowskie, śląskie, zwłaszcza żywczańskie, łowickie i wiele innych, następnie artystyczne motywy ludowe, np. zakopiańskie, dostarczyłyby sporo materjału pomysłowym artystom do stworzenia stylizowanych sukien polskich. Inicjatywę tę podejmował już „As“ wielokrotnie!

E. Plutnerowa.



Piękna tualeta, własność regentowej Horthy (na lewo), ozdobiona starowęgierskim haftem o motywach kwiatowych, noszonych na fartuszkach przez wiejskie dziewczęta (na prawo).



Okrycie, którego używają młodzi włościanie na nizinach, posłużyło jako wzór dla pięknego cape'u z białego sukna (na prawo), przybranego barwnym haftem.



ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „ASA"

★ *na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny* ★

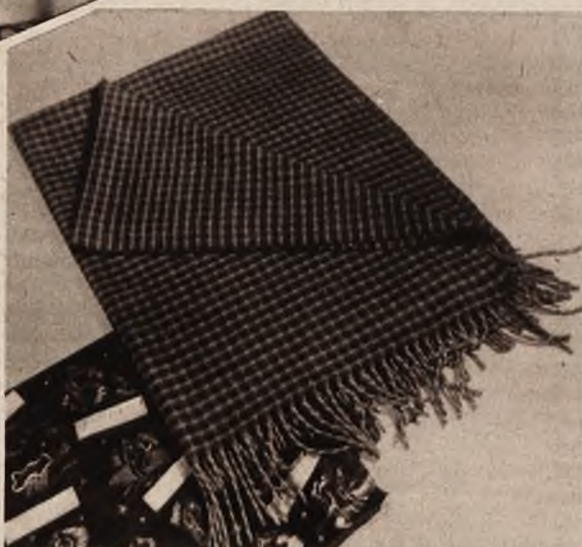




Powyżej od lewej: I NAGRODA, dwunastoosobowy garnitur kremowy do białej kawy ze słynnej polskiej porcelany „ĆMIELÓW" ofiarowany przez tę Fabrykę. — Stół p. Katarzyny Alwinowej, Szubin (Pomorze), który otrzymał I nagrodę.



Na lewo: Stół pp. Edmundostwa Lewandowskich, Poznań, który otrzymał II nagrodę. — Poniżej: II NAGRODA, pled damski do podróży, wyrobu ZAKŁADÓW PRZEMYSŁOWYCH ROMANA ŻUROWSKIEGO W LESZCZKOWIE, ofiarowany przez te Zakłady.





Powyżej: III NAGRODA, szal damski — wyrobu CENTRALNEJ DOŚWIADCZALNEJ STACJI JEDWABNICZEJ W MILANÓWKU, ofiarowany przez tę Stację. — Na prawo: Stół p. J. Sz., Warszawa, który otrzymał III nagrodę.



Leży przed nami bogaty plon Konkursu „Asa" na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny. — Teraz mamy do spełnienia miły obowiązek złożenia relacji o nim przed naszymi Czytelnikami, którzy bez wątpienia z zainteresowaniem śledzili jego przebieg w kilku ostatnich numerach „Asa". W miarę coraz większej ilości zamieszczanych w toku konkursu reprodukcyj stołów ze święconem, wzmagała się i liczba nadsyłanych zdjęć. Panie domu miały widocznie wielką tremę przed wystawieniem swojej pracy na publiczny pokaz! Dopiero zachęcone widokiem stołów wielkanocnych, nadsyłanych na Konkurs z wszystkich okolic Polski, nabierały odwagi i z pośpiechem dostarczały zdjęć swych stołów.

To też niezmiernie żałujemy, że nie wszystkim udało się skutkiem tego zdążyć na czas, a więc na wyznaczony termin 30 kwietnia. W myśl regulaminu Konkursu, który tę datę ustanowił, nie mogliśmy ich już ani reprodukować, ani też brać pod uwagę przy przyznawaniu nagród. A szkoda wielka, gdyż znajdujemy wśród nich zdjęcia bardzo ciekawe, wykazujące wiele pomysłowości w rozwiązaniu problemu dekoracji stołu.

Prosimy te Czytelniczki i tych Czytelników, którzy spóźnili się ze zdjęciami, aby nie czuli się z tego powodu zasmuceni. Za rok, gdy rozpiszemy nowy Konkurs, nie spóźnią się już napewno, a kto wie, może zdobędą piękne nagrody.

Uczestnicy naszego Konkursu mogą zapytać, dlaczego Redakcja „Asa" stoi tak rygorystycznie na stanowisku nieprzekraczania terminu w nadsyłaniu zdjęć. Pomyśli ktoś może, że to byłoby drobne ustępstwo, a wszyscy oglądaliby swe dzieła na łamach „Asa". Otóż dotrzymujemy skrupulatnie podanego terminu z wielu powodów, a przedewszystkiem dla porządku, który, przestrzegany w każdej sprawie, powinien być dewizą naszego życia społecznego. Następny powód jest natury psychologicznej: nie możemy sobie pozwolić na to, aby zainteresowanie sprawami, podawanemi przez nasz Magazyn, mogło choćby na chwilę pomniejszyć się wśród Czytelników. Konkurs wielkanocny może być interesujący tylko w najbliższym okresie świąt, a w miarę ich oddalania się, stopień zainteresowania się sprawami święconego musi maleć. To jest naturalny bieg rzeczy.

Największa nawet ilość zdjęć, zreprodukowana bezpośrednio po świętach, oglądana będzie z zainteresowaniem, ale ta sama ilość, rozciągnięta na okres wielu tygodni, nie może już wzbudzić tego samego zaciekawienia. W interesie więc i samego Konkursu i wszystkich naszych Czytelników, musimy stać rygorystycznie na przewidzianem i zgóry określonem stanowisku.

Podając poniżej rozstrzygnięcie Jury konkursowego, złożonego z człon-



IV NAGRODA, flakon półkilowy wody kwiatowej „Calendal" Molinarda, wyrobu Firmy K. & A. MIKLASZEWSKI, KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 3, ofiarowany przez tę Firmę.



Stół p. W. H., Lwów, który otrzymał IV nagrodę.





Stół p. S. R., Anin, który otrzymał nagrodę pocieszenia.



Stół p. K. i O., Gostyń, który otrzymał nagrodę pocieszenia.

Stół p. Reginy Smolińskiej, Gniezno, który otrzymał nagrodę pocieszenia.

ków naszej Redakcji, dziękujemy wszystkim Uczestnikom Konkursu za dowód uznania dla inicjatywy „Asa", a P. T. Firmom, które przyznały cenne nagrody, za ich obywatelskie stanowisko wobec rzuconego hasła wskrzeszenia pięknej tradycji staropolskiego święconego.

Nagrodę pierwszą otrzymuje zdjęcie p. Katarzyny Alwinowej z Szubina w postaci serwisu do kawy na 12 osób. Jest to dar firmy „Ćmielów".

Nagrodę drugą otrzymuje zdjęcie pp. Edmundostwa Lewandowskich z Poznania w postaci damskiego pledu do podróży. Jest to **dar Zakładów Romana Żurowskiego w Leszczkowie.**

Nagrodę trzecią otrzymuje zdjęcie pp. J. S. z Warszawy, w postaci damskiego szala jedwabnego. Jest to **dar Stacji Jedwabniczej w Milanówku.**

Nagrodę czwartą otrzymuje zdjęcie p. W. H. ze Lwowa w postaci flakonu wody kwiatowej „Calendal". Jest to **dar firmy K. i A. Miklaszewski z Krakowa.**

Trzy nagrody pocieszenia w postaci 2-litrowych flaszek likierów **firmy A. Baczewski we Lwowie,** otrzymują zdjęcia: **p. K. i O. z Gostynia, p. S. R. z Anina i p. Reginy Smolińskiej z Gniezna.**



Na prawo: TRZY NAGRODY POCIESZENIA, po dwie flaszki litrowe likieru „Chartreuse", „Mandarin Ginger" i „Apricot Brandy" — wyrobu FABRYKI A. BACZEWSKI, LWÓW — ofiarowane przez tę Fabrykę.



Podczas rewji część publiczności upłasowała się na schodach tarasu „Yacht-Klubu".

Rewja mody sportowej w Yacht-klubie

Moda to satrapka, jakiej niema i nie będzie drugiej w historji świata. — Dyktuje bezwzględnie swe prawa, nie licząc się nawet ze zdrowym rozsądkiem, a najczupurniejsza i najbardziej wojowniczo usposobiona niewiasta poddaje się jej z niewolniczą uległością. Lecz o ile w dziedzinie sukien, kapeluszy, fryzur itp., lubi Pani Moda bardzo często zaglądać do dawnych wzorów, by czerpać z nich natchnienie do nowych pomysłów, o tyle w sporcie, wspomagana przez dwie mądre doradczynie: kulturę ciała i higjenę stroju, wykazała niezwykłą inicjatywę i postęp.

Przypomnijmy tylko sobie, jak nie tak dawno temu, bo przed trzydziestu laty, ubierały się nieliczne kobiety, uprawiające sporty. Na rower siadały w ciężkich spódnicach po pięty i kapeluszach z szerokiemi rondami, jako ochroną przed słońcem, w tenis grały w gorsetach, w bluzkach zapiętych szczelnie pod szyję i długich plisowanych spódnicach, a kąpały się i pływały, o ile któraś umiała pływać, w kostjumie, składającym się z długich spodni i kaftana, zakrywającego szczelnie wszelką goliznę przed pożądliwym wzrokiem mężczyzn, podglądających kąpiące się niewiasty z krzaczków nadbrzeżnych. Inne sporty nie były wogóle brane pod uwagę.

Dziś jest trochę inaczej! Jak świat długi i szeroki, kobieta na równi z mężczyzną opanowała wszystkie niemal dziedziny sportu. Okazała się zawodniczką pełnowartościową. Zdobywa mistrzostwa świata. Ustanawia nowe rekordy. Nie słusznie tylko zarzucają ignoranci sportsmenkom brak kobiecości oraz estetyki w stroju. Są to bardzo nieliczne wyjątki. Kobieta zawsze pozostanie kobietą i w każdej sytuacji życiowej potrafi nadać swej sylwetce modny i pociągający wyraz.

Z całem też uznaniem przyklasnąć należy warszawskiemu Kołu Tow. Krzewienia Kultury Fiz. Kobiet — któremu prezesuje pełna inicjatywy i energji nasza pierwsza mistrzyni olimpijska, ministrowa Konopacka-Matuszewska — za urządzenie miłej imprezy sportowej pt. „Wesoły Wieczór Sportowy", będącej zarazem rewją mody sportowej.

Piękny taras wytwornego „Yacht-Klubu", ujęty w ramy dwóch mostów, przerzuconych ponad toczącą swe potężne nurty Wisłą, stanowił wymarzony teren do tego rodzaju pokazu. Na pierwszy ogień poszła grupa pań w kostjumach spacerowych i samochodowych, Przeznaczone na letnią porę stroje te wykonane były w przeważnej części z lnu wileńskiego, doskonale spełniającego w tym wypadku swą rolę, jako materjał o barwach dyskretnych, a przytem przewiewny i nie rozgrzewający ciała.

Następnie zjawiła się rowerzystka w zgrab-





Efektowny lniany płaszcz kąpielowy z kapiszonem, w kolorze pomarańczowym (p.Werdyńska)

niutkim kostjumiku z czarnego aksamitu. Otwarte zprzodu bolerko ukazywało barwną bluzeczkę w pasy. Zamiast spódniczki, króciutkie spodenki. Skarpetki i przewiewne sandały na niskich obcasach.

Golf, który coraz więcej zaczyna się u nas przyjmować, reprezentowany był przez dwa modele, oparte na ściśle angielskich wzorach. I tu jeden z kostjumów wykonany był z lnu wileńskiego w kolorze zielonym w szkocką kratę. W drugim do zielonej spódniczki zastosowano żółtą bluzeczkę i żakiecik w rdzawym kolorze z materji trykotowej. Golfistkę obowiązują grube pończochy i solidne półbuciki oraz mały kapelusik filcowy.

W kostjumach do tenisa widzi się coraz więcej swobody i przewiewności. Krótkie spódniczki lub shorty, do tego bluzeczka z krótkiemi rękawkami, skarpetki i pantofle o różnych krojach. Naturalnie, obowiązującym jest kolor biały, na tle którego piękną barwną plamę tworzą kolorowe szaliki, stanowiące niezbędne uzupełnienie kostjumu. Elegancka a zarazem praktyczna pani, wybierając się na tenis, narzuci na siebie biały, wełniany lub samodziałowy płaszcz, co ją uwolni od kłopotu przebierania się w kostjum tenisowy na placu gry. W każdym bądź razie powinna mieć pod ręką jakiś ciepły, barwny sweter, lub bardzo kolorowy żakiecik, by go zarzucić na ramiona podczas przerwy w grze.



Kostjumy do sportów wodnych i na plażę dają możność rozwinięcia jak największej skali fantazji i śmiałych pomysłów. Co się tyczy samych kostjumów kąpielowych, to obecnie są one dosłownie krojone na figurę. Fasony pozostały bez zmian. Odjąć już niema z czego, a dodać nie

Na lewo: Kostjum do jachtingu (p. Federowiczowa).



Dwa oryginalne kostjumy myśliwskie (od prawej: p. min. Konopacka-Matuszewska i p. Walewska).

pozwolą sobie kobiety, zwłaszcza te, które mogą się pochlubić ładnemi kształtami. Moda znaczy tu swe ewolucje jedynie w barwach i deseniach, oraz w rodzaju materjału, z którego te mikroskopijne szatki są zrobione. Natomiast w płaszczach, pidżamach i sukniach plażowych widzi się dużo pięknych nowości. — Szerokie spodnie wyszły już zupełnie z mody. Coraz większem powodzeniem cieszy się długa do ziemi suknia plażowa, którą już w ubiegłym sezonie widziało się na francuskiem wybrzeżu. Wykonana z barwnego, kwiecistego perkaliku, dołem szeroki klosz, bufiaste rękawki, zapinana z boku, jak szlafroczek. W tych sukniach chodzi Paryżanka na letnich wywczasach przez cały dzień, nie wyłączając



dancingu. Na warszawskim pokazie widzieliśmy kilka bardzo efektownych i pomysłowych kostjumów plażowych, oraz płaszczy wykonanych z barwnego lnu. Jeśli chodzi o nasze krajowe perkaliki, okazało się, że mają one duże zastosowanie w sporcie. Niezwykle barwną grupę stanowiły dziewczątka, bawiące się w „skakankę", które na majteczki kąpielowe poubierały króciutkie spódniczki z różnokolorowych kwiecistych perkalików.

Wytworny sport jachtingowy wymaga niemniej wytwornego kostjumu. Uświęcony wieloletnią tradycją nie zmienia się w swych zasadniczych linjach. Długie, o męskim kroju, spodnie, trykotowa koszulka i żakiecik. Piękny taki model zobaczyliśmy w obowiązującym kolorze granatowo-białym. — Granatowe spodnie przybrane były białemi lampasami, zaś biały krótki żakiecik miał granatowe wyłogi i kołnierzyk. Do tego czapeczka granatowa z daszkiem, opasana białym sznurem.

Clou rewji stanowił pokaz kosjumów myśliwskich, w kolorze zielonym, składających się z krótkiej spódniczki-spodni oraz żakiecika. Pani Konopacka-Matuszewska, która z dubeltówką na ramieniu wyglądała jak nowoczesna Diana, skomponowała swój kostjum z bronzową bluzeczką i takimż kapeluszem, oraz trzewikami, ozdobionemi skórą lamparta.

Na zakończenie odbyły się autentyczne łowy na tarasie Yacht-Klubu. Panie zmierzyły się ze swych dubeltówek. Padły strzały, a piękny airedale-terrier zaaportował trofea w postaci... dużej gumowej żaby i jeszcze większego krokodyla!

Pomysłowy pokaz mody wzbudził żywe zainteresowanie w sferach towarzyskich stolicy, o czem świadczyła wielka liczba wytwornej publiczności, przybyłej tego wieczoru do Yacht-Klubu.

Ord.

Wszystkie zdjęcia: Magazyn „As".



Na prawo: Komplet do tenisu.

Poniżej: Czarny aksamitny kostjum rowerowy (p. Knapp).



Poniżej: Kostjumy samochodowe i spacerowe z lnu wileńskiego.



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA RAKOWA. 10 małych raków myje się dokładnie w bieżącej wodzie, następnie wrzuca na gotującą się wodę. Po paru minutach wyjmuje się raki i wyciąga z nich jelito, poczem wrzuca się je na smak, nagotowany z jarzyn, kminku, kopru i soli; po kwadransie wyjmuje się ugotowane raki, zdejmuje z nich skorupki, zaś obrane szyjki i szczypce daje sie do wazy. Większe skorupki nadziewa się ryżem duszonym, utartym z żółtkiem i masłem, zaś drobne skorupki tłucze się w moździerzu i dusi następnie z łyżką masła aż to ostatnie nabierze czerwonego koloru, poczem dolewa się kilka łyżek rosołu i po zagotowaniu przecedza się do smaku, w którym się raki gotowały; w smaku zagotowuje się napełnione ryżem skorupki, podprawie 1/4 litra śmietany i wydaje zupę troszkę przestudzoną.

KURCZĘ W POTRAWCE (z kuchni dietetycznej). Kurczę oczyszczone i dokładnie wymyte, naciera się sokiem cytrynowym i troszką soli. Odleżałe przez godzinę kurczę kraje się w ćwiartki, układa na troszce masła w rynce, podlewa rosołem lub przy ostrzejszej diecie — wodą — i dusi pod pokrywą na zupełnie wolnym ogniu przez godzinę, przy dolewaniu rosołu wzgl. wody tak, aby zawsze mięso było nakryte. Ugotowane ćwiartki wyjmuje się z rosołu, który się zagotowuje z lekką zasmażką z łyżki masła i mąki. Na miseczce rozciera się żółtko z łyżeczką soku cytrynowego, poczem dolewa się zagęszczony zasmażką sos, macza w nim każdą ćwiartkę kurczęcia i układa na środku półmiska. Dookoła daje się ryż na sypko ugotowany, oblewa całą potrawę sosem i posypuje siekaną, zieloną pietruszką.

SZPARAGI NA MUSZELKACH. Drobniejsze, obrane z łupki szparagi, gotuje się w słonej wodzie, której nie powinno być dużo. Osobno sporządza się beszamel z łyżki masła ,tyleż mąki i troszki mleka oraz wody z pod szparagów. Sos ten podprawia się dwoma żółtkami i miesza z szparagami, pokrajanemi na odpowiednie kawałki. Muszelki posmarowane masłem, nakłada się przygotowanem ragout szparagowem, posypuje smażoną bułeczką i zapieka w gorącym piecyku przez 5—8 minut. Podaje się gorące bez żadnych innych dodatków, jako przystawkę.

HRECZUSZKI sporządza się z mąki hreczanej, której wsypuje się tyle do 1/4 litra kwaśnej śmietany, aby się utworzyło rzadkie ciasto, trochę gęściejsze od naleśnikowego. Do ciasta tego wybija się 2 jaja i rozkłóca rogalem, dosypawszy jeszcze płaską łyżeczkę soli. Na małej patelce lub dołkownicy wysmaża się z tego ciasta małe dołeczki, odwracając je, aby się z obu stron zrumieniły. Podaje się na ciepło z słoniną lub też z osobno podaną kwaśną śmietaną.

TORT CZEKOLADOWY (SACHER). 16 dkg masła uciera się na pianę, dodaje 16 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady i uciera aż wszystko ostygnie. Osobno uciera się 6 żółtek z 16 dkg mączki cukrowej przez 15 minut, poczem łączy się masę czekoladową z żółtkową i dodaje 16 dkg sypkiej mąki oraz pianę z 6 białek po łyżce naprzemian, lekko z całą masą mieszając. Ciasto wlewa się do dużej formy tortowej, natartej masłem i wysypanej mąką, następnie piecze się około godzinę w miernie gorącym piecyku. Tort powinien wypaść tylko na dwa palce wysoko, a ponieważ silnie narasta, należy użyć dużej tortownicy, co wyżej podkreśliłam. Po upieczeniu i ostudzeniu, pokrywa się tort rozgotowaną marmoladą, którą gotującą się wylewa na tort. Kiedy już marmolada na torcie zastygnie i troche przeschnie, polewa się tort gorącym lukrem czekoladowym, nie dotykając z wierzchu nożem, jedynie boki tortu wygładza się szerokim nożem, umaczanym w gorącej wodzie.

AWANTURKA. 25 dkg zwykłego, świeżego twarożku, dwie łyżki śmietany lub sardynkę, roztartą wraz z oliwą, łyżke siekanego szczypiórku, rzodkiewkę, pokrajaną w bardzo cienkie plasterki, szczyptę soli i papryki miesza się razem i nakłada na krajanki ciemnego chleba z masłem.

CHLEB ANGIELSKI DO PRZEKĄSEK I KANAPEK. Do miski wsypuje się 1 kg mąki żytniej, miesza ją z 2 łyżeczkami soli, następnie dodaje się: 30 dkg pieczonych ziemniaków, przetartych przez sito, 4 dkg drożdży, rozpuszczonych w letniem mleku, 12 dkg roztopionego masła i 2—3 żółtek. Z dodatkami temi dolewanem po trosze letniem mlekiem zagniata się bardzo tęgie ciasto, które się nie śmie do ręki lepić. Wygniata się je przez dłuższą chwilę, następnie stawia w cieple, aby wyrosło do podwójnej wielkości, co trwa zwykle godzinę. Wyrośnięte ciasto przegniata się ponownie, wkłada do wysypanej mąką kwadratowej formy, stawia w cieple na pół godziny, następnie piecze w gorącym piecyku lub też daje do piekarni celem upieczenia.

Chleb ten brany bywa do użytku dopiero na drugi dzień po upieczeniu Całą wierzchnią skórkę okrawuje się z chleba dokładnie, następnie kraje ośródkę w cienkie kwadratowe kawałki , które się opieka nad płomieniem lub w specjalnych elektrycznych aparatach stołowych. Takie opiekanki podaje się do zakąsek i herbaty. Do kanapek używa się chleba nieopiekanego. **Sc. Ko.**

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Sławne jest w każdem gospodarstwie domowem „uciekanie mleka", któremu nie zapobiegnie najdokładniejsze zamykanie... drzwi.

Jak wiadomo, mleko przy gotowaniu się silnie powiększa swą objętość i kipiąc, wybiega poza brzeg niskiego zwłaszcza naczynia. Ale zawsze jest sposób, aby temu zapobiec. Albo uważamy dokładnie na naczynie z mlekiem w momencie jego wrzenia, albo też zabezpieczamy się w ten sposób, że brzegi ryneczki, w której mleko nastawione jest do gotowania, posmaruje się masłem, jak to przedstawia nasza ilustracja.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 23

Maj

31 dni



NIEDZIELA 29 Maksymiliana

Zupa szparagowa. Raki w śmietanie. Młoda gąska z mizerją. Tort "Sacher".
Kolacja: Szynka z sałatką majonezową.

PONIEDZ. 30 Feliksa

Zupa na podróbkach z gęsi. Hreczuszki z słoninką. Zrazi-ki naturalne z pieczarkami i ryżem. Kompot surówkowy z sezonowych owoców.
Kolacja: Jaja faszerowane.

WTOREK 31 Anieli, Petr.

Rosół z kaszką krakowską. Budyń szpinakowy. Rozbratle prędkie z przysmażanemi ziemniaczkami. Suflet owocowy.
Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego.

Czerwiec

ŚRODA 1 Nikodema

Zupa koperkowa na perłówce. Móżdżek cielęcy smażony z jajami. Polędwica wieprzowa z sałatą. Grzybek z sokiem malinowym.
Kolacja: Młode ziemniaczki lub kasza z kefirem.

CZWARTEK 2 Marceliny

Zupa "à la tortue". Nóżki cielęce faszerowane. Kurczę w potrawce z kaszką lub grysikiem. Budyń cytrynowy.
Kolacja: Rizotto.

PIĄTEK 3 Erazma

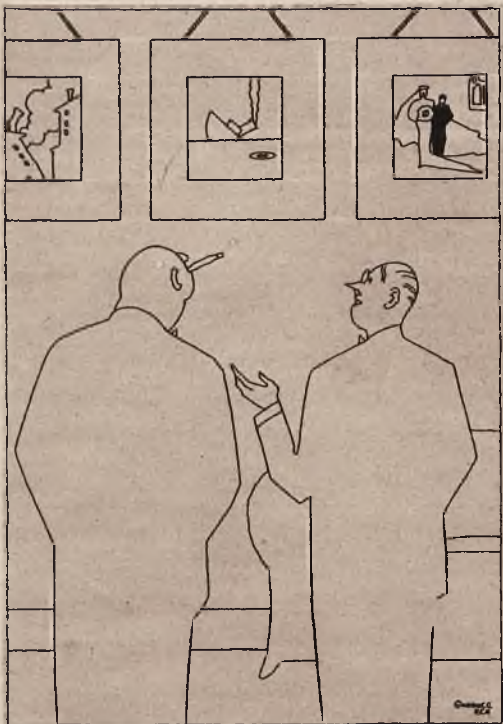
Barszcz z botwinki z ziemniaczkami. Makaron z serem zapiekany. Karp w galarecie z bułką. Ryż ze śmietaną.
Kolacja: Sardynki, sery, rzodkiewka, chleb, masło.

SOBOTA 4 Franciszka

Rosół z kluseczkami. Sztuka mięsa z ćwikłą. Kura z rosołu w białym sosie. Kompot.
Kolacja: Parówki z musztardą.



WAŻNIEJSZE CHWILE ŻYCIA.



— Oto moja galerja: tutaj wielki pożar w Chicago, tam zatonięcie „Titanica", a tu mój ślub!

(„Esquire").

Rozwiązania Nru z 21-go.

DWÓCH POSŁAŃCÓW.

Sklepy znajdują się jeden od drugiego w odległości 1760 m. Odległość tę obliczamy łatwo: należy dodać do siebie odległości od sklepów, w jakich chłopcy się spotkali i dwukrotną **różnicę** tych odległości. A więc 720+400+640=1760 m.

BECZKI WINA.

Do A i B kupiec posłał **po** 3 beczki, po jednej wypełnionej do połowy i po 3 puste. Do C — jedną pełną, 5 wypełnionych do połowy i jedną pustą.

METAL.

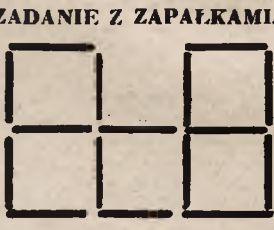
Metal zawiera 10,468 kg miedzi.

CYFRY.

$(2+3+5)^4-1=9999$; $(3\times 2)-1+5\ ^4=10000$; $(1+2+3+4)^5=100000$; $\frac{4+1}{2+3+5}=\frac{1}{2}$;

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZADANIE Z ZAPAŁKAMI.



Proponujemy czytelnikom ułożyć 16 zapałek tak, jak to wskazuje rysunek. Następnie należy przesunąć 3 zapałki tak, aby pozostały tylko cztery kwadraty.

RACHUNEK RESTAURACYJNY.

Panowie Kanarek, Słowik i Wróbel jedli razem obiad w restauracji. Gdy przyszło do płacenia, każdy z nich postanowił zapłacić 1/3 rachunku. Gdyby każdy z nich zapłacił swój własny rachunek, pan Kanarek zapłaciłby o 60 groszy mniej, a pan Słowik o 20 gr więcej, zaś rachunek pana Wróbla wyniósłby 2 zł. 60 gr. Ile złotych wynosił rachunek restauracyjny?

PO REWOLUCJI W RIO DE JANEIRO.



- Czy państwo macie dobrze wyszkoloną służbę?

— O tak, nasz John służył w Stanach Zjednoczonych przy karabinach maszynowych!

(Rys. Charlie).

DROBNA OMYŁKA.



Roztargniona kumoszka w samochodzie policyjnym: — O, to pan nie jest konduktorem a to nie jest autobus, jadący w stronę Fifth Avenue?

(„Esquire").

Dokończenie ze str. 5-tej.

od wysokich napięć. Zainstalowane w tym celu olbrzymie transformatory mogły wytwarzać iskry w wyładowaniach, osiągających długość 9 metrów i taki „sztuczny piorun" przepuszczano przez modele samolotów i sterowców, przez motory aeroplanowe naturalnej wielkości, wreszcie przez turystyczny jednopłatowiec typu Barlinga.

Wyrządzone szkody okazały się bardzo nieznaczne. Blachy, wykonane z duraluminjum, nie uległy uszkodzeniu, a części, pokryte płótnem zostały tylko podziurkowane w miejscach przepuszczania sztucznej błyskawicy, nie uległy jednak zapaleniu. Z doświadczeń Austina wynikałoby, że niemal wykluczoną jest rzeczą, by piorun mógł zapalić samolot, znajdujący się w locie. Pozostawałoby niebezpieczeństwo zniszczenia jakiejś części samolotu, zwłaszcza części niejednorodnych lub narażonych specjalnie na uderzenia. — W samolotach budowanych z drzewa i metalu zachodzić mogłoby niebezpieczeństwo stopienia niektórych części metalowych i porażenia pilota, dlatego też za lepsze uważane są jednorodne metalowe konstrukcje, przy których niema niemal żadnego niebezpieczeństwa nawet na wypadek uderzenia piorunu w samolot.

Otrzymanie tak wysokich napięć, odpowiadających napięciom piorunów, znalazło niejedno zastosowanie w technice, przedewszystkiem jednak w pracach fizyko-chemicznych nad rozbijaniem atomów pierwiastków. Prace rozpoczęte na tem polu przez zmarłego niedawno najznakomitszego fizyka i chemika naszych czasów lorda Rutherforda z każdym rokiem przynoszą nowe zdobycze i wyniki. Za Franklinem, który pierwszy ściągnął piorun z nieba, umiemy dzisiaj nietylko korzystać z jego potężnych doświadczeń, potrafimy je „wytwarzać" sami i nimi się posługiwać. Stanowi to naprawdę jeden z największych triumfów człowieka.

Dr M.

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Władysław J. Dobrowolski. „Jastrzębia boleść". (Nauka i Sztuka). Oryginalna ta opowieść przenosi nas w XII-ty wiek i obrazuje w jędrnie ujętej polszczyźnie, ciekawie i nieraz bardzo szczęśliwie urobionej na modłę dawnej, średniowiecznej, zatarg biskupa płockiego Wernera z rodem Jastrzębców. Nie jest to naśladownictwo językowe, ani też archaizowanie, lecz w wielu wypadkach autor posługuje się nowem tworzywem językowem, kunsztownie i subtelnie wyczutem, co pracę jego stawia na artystycznej wyżynie. Oczywiście, że narracja wyrażona staroświeckim językiem nie jest zbyt żywa, ale harmonizuje to z tempem owych czasów, a ponadto każe zastanowić się dłużej nad głębszem znaczeniem poruszonych spraw. W każdym razie „Jastrzębia boleść", to jedna z ciekawszych książek w tym rodzaju.

Jan St. Bystroń. „Księga imion w Polsce używanych". („Rój"). Znany autor, który nie tak dawno temu dał nam cenną pracę o nazwiskach polskich, również w swej książce o imionach daje dużo nowych, ciekawych spostrzeżeń o używanych imionach, wyzuje psycholoczne i historyczne ich znaczenie, sięga wgłąb techniki powstawania i rozpowszechniania się imion, tak dawniej, jak i w naszych czasach. Ciekawe zestawienia statystyczne ułatwiają bardzo orjentowanie się co do częstotliwości występowania imion i pozwala zbadać genezę ich popularności lub rzadkości. Ciekawa praca prof. Bystronia porusza jedną z ważniejszych dziedzin naszej kultury, dając pełny jej obraz. **Igm.**

Witold Dederko. „Fotografja czyli Obrazy słońcem malowane". Książka p. Witolda Dederki jest pierwszą próbą w dziedzinie publicystyki fotograficznej unaocznienia przy pomocy rysunków i porównań zasad i podstaw wiedzy fotograficznej. Praca p. Witolda Dederki tem więcej zasługuje na wyróżnienie, że stanowi wyłom w dotychczasowych sposobach popularyzowania fotografji.

Żywy i oryginalny sposób ujęcia przyczyni się niewątpliwie do szybkiego rozpowszechnienia umiejętności fotografowania i uczyni z coraz liczniejszych adeptów tej szlachetnej sztuki wyszkolonych fachowców i artystów, świadomych swoich celów. W pracy swojej bowiem p. Witold Dederko nie ograniczył się jedynie do wskazówek natury czysto praktycznej, lecz potraktował bardzo obszernie dział kompozycji i opracowania światłem.

Nie należy również zapominać o zasłudze firmy „Foton", która podjęła się trudu wydania tej ze wszech miar interesującej książki. A trud ten jest niemały, jeśli zważyć komplikacje wydawnicze, wynikające z rozmieszczenia, skliszowania i opracowania graficznego blisko 700 rysunków i tyluż tekstów, zawartych w tej pracy. **x.**

Jalu Kurek: „Myślom ciasno". Zbiór felietonów Jalu Kurka pt. „Myślom ciasno" jest dziesiątą zkolei książką laureata Nagrody Młodych PAL'u. Po tomach wierszy (od „Upałów" po „Mohigangas"), po utworach powieściowych (od „Kim był Andrzej Panik?" do „Woda wyżej") Kurek wystąpił obecnie z „dopełnieniem" jego „postawy ideowej", jak się wyraża w przedmowie.

Dziennikarstwo nie od dzisiaj daje pole pisarzowi wypowiadania się na marginesie aktualnych zagadnień: wprawdzie tematy dyktują tutaj potrzeby chwili, ale niejeden z autorów potrzebuje właśnie zewnętrznego „dopingu", bodźca zachęty... W zbiorze „Myślom ciasno" punkt wyjścia do rozważań stanowi zazwyczaj jakiś fakt konkretny, jakieś aktualne wydarzenie czy zjawisko. A więc w tytułowym felietonie sprawa telewizji i wogóle zdobyczy technicznych jest pretekstem do wykazania konieczności równomiernego „postępu duchowego". Mówiąc o „Umarłych w śniegu" i przytaczając różne przykłady „białej śmierci" autor zaznacza, że pisze o nich, aby wykazać, że „w takich ciężkich czasach są ludzie, pożądający celów idealnych, tęskniący do wzgórz śnieżystych, dążący do wzniosłości. W feljetonie „Nie gadać" autor wzywa do większej oszczędności w słowach, przeciwstawiając się przerostowi reklamiarskiego stylu: „Jeśli ktoś stale krzyczy, wołania nie odróżnia się u niego od normalnej mowy."

NA SCENIE.

WARSZAWA. W komedji Michała Bałuckiego pt. **„Gęsi i gąski"** (Teatr Narodowy) ujrzeliśmy takich asów sceny, jak Węgrzyn i Leszczyński, jak Ćwiklińska, Zelwerowicz (zarazem reżyser sztuki). Poza tem należy wymienić pp. Fritschego, Krzymuską, Macherską, Łuszczewskiego. Dobrą parę zakochanych stworzyli pp. Niwińska i Wyrzykowski.

Po cieszącej się długiem powodzeniem „Damie od Maksyma" — Teatr Letni wystąpił z farsą Jeana Guittona pt. **„Nie trzeba było mnie przejechać".** Jest to rzecz pełna bezpretensjonalnego humoru, obfitująca w zabawne figury epizodyczne. Wykonawcy: pp. Gella, Ola Leszczyńska, Balcerkiewiczówna, Grabowski, Hnydziński, Karczewski, Jaroń.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego wystawił sztukę angielskiego autora pt. **„Marjella"**, w której pole do popisu znalazła p. Zofja Jaroszewska, tworząc w tytułowej roli wyborną kreację. Doskonale spisała się p. Romana Pawłowska, jako poświęcająca się Judytka. P. A. Klońska znakomicie podkreśliła nieprzejednaną surowość Anny. P. Jerzy Kaliszewski z brawurą odtworzył postać młodego lekkoducha, Micky'ego. Resztę zespołu stanowili pp. Kazimierz Fabisiak i Zygmunt Modzelewski. Reżyserował p. Józef **Karbowski.**

BYDGOSZCZ. W komedji węgierskiego autora M. Laszlo pt. **„W perfumerji"**, wyreżyserowanej przez p. Koreckiego, na wyróżnienie zasłużyli pp.: Arczyńska, Kierczyński, Tatrzański, Rewkowski, Winczewski i Dytrych. Dekoracje p. Hawryłkiewicza. **J. J.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 29 maja.

9.00 Transmisja z Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie — Mszę św. celebrować będzie ks. kardyn. Legat Papieski.
12.03 Poranek symfoniczny z parku Paderewskiego.
13.15 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
17.00 Utwory Ludwika van Beethovena w wyk. St. Staniewicza.
21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 „Letni wieczór w Warszawie" — audycja muzyczna.

Poniedziałek, 30 maja.

12.03 Audycja południowa.
16.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Ork. Rozgł. Lwowskiej.
17.00 Muzyka taneczna z płyt.
18.30 Audycja Legji Akademickiej.
21.00 Muzyka taneczna.
22.00 Pieśni Izaaka Albeniza.
22.20 Recital skrzypcowy Roberta Soetensa.

Wtorek, 31 maja.

16.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
16.45 Jan Matejko — opowieść biograficzna.
17.00 Muzyka taneczna.
18.00 „Z życia owadów" — pogadanka z Wilna.
19.00 Recital fortepianowy Ernesta Kreneka.
22.00 Finał konkursu dla pianistów im. Ysaye'a — transmisja z Brukseli.

Środa, 1 czerwca.

16.00 Koncert Orkiestry Salonowej Rozgłośni Poznańskiej.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Recital Mieczysława Szaleskiego — altówka.
21.10 Koncert chopinowski w wyk. Józefa Turczyńskiego.
22.00 Koncert Małej Orkiestry P. R.

Czwartek, 2 czerwca.

16.00 Koncert solistów z Krakowa.
16.45 „Wybór letniska" — pogadanka.
17.00 Muzyka taneczna z płyt.
18.10 „Edison" — słuchowisko J. Awerta.
22.15 Polska muzyka kameralna (I audycja).

Piątek, 3 czerwca.

11.40 Mikołaj Rymski - Korsakow: Kaprys Hiszpański.
16.00 Z czasów Szekspira — koncert z Krakowa.
16.45 Jak urządzić letnisko — pogadanka.
18.00 Rzeczy ciekawe z techniki i przyrody — pogadanka.
18.10 Koncert solistów (ze Lwowa)
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — I audycja.

Sobota, 4 czerwca.

16.45 „Wakacje zorganizowane", pogadanka.
18.10 Recital śpiewaczy Anieli Szlemińskiej.
18.45 „Znam tylko jeden Śląsk" — kwadrans poetycki.
20.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
21.10 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
22.00 Godzina niespodzianek z Wilna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.